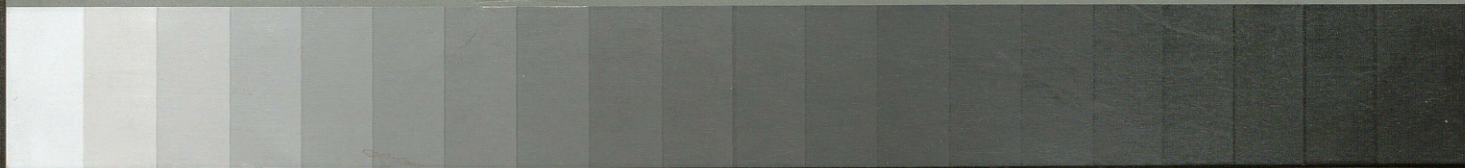


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





204
POLSKA MA DOSTĘP
DO MORZA

5-145
11/
BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

T E G O Ż A U T O R A :

R. NIEWIADOMSKI (pseud.) Piękna zabawa czyli Teatr świata.
Warszawa 1919. str. 136. Druk Nauk. Rynek
St. Miasta 11.

R. BALAWELDER: Walerjan Łukasiński. Ofiarowanie drama-
matyczne. 1925. Str. 168. Dom Ks. Pol., War-
szawa.

- Tajemnice Mahrebu. Wrażenia z podróży do
Algerji. 1931. Str. 181. Skład Gł. Gebethner
i Wolff, Dom Ks. Pol..
- Dusza Północy. Z podróży „Polonii“ do Danji,
na fjordy Norwegji i Nordkap. Z 42 ilu-
stracjami. Warszawa 1932. Str. 230. Skład
Gł. Gebethner i Wolff, Dom Ks. Pol..
- Żołnierz Nieznany. Sztuka w 3 częściach (22
obrazach). Warszawa 1933. Str. 84. Skład Gł.
Gebethner i Wolff, Dom Ks. Polsk. oraz
księg. J. Lisowskiej, Warszawa.
- W stolicy Norwegji. Warszawa 1934. Str. 16.
Skład. Gł. Dom. Ks. Pol. i Księg. J. Lisow-
skiej.
- Zwarjowana rzeczywistość. Sztuka w 3 ak-
tach. Warszawa 1934. Str. 54. Skład Gł. Ge-
bethner i Wolff, Dom Ks. Pol..

ROMUALD BALAWELDER

POLSKA MA DOSTĘP
D O M O R Z A

(Wisła do Bałtyku)

W A R S Z A W A, 1 9 3 9

h. inw. ~~204~~. 8349

5866/

BIBLIOTEKA
Wyższe Szkoły Politt. - Wych.

PRZEDMOWA.

Głównymi bohaterami niniejszej książki są: morze — to pulsujące, ogromne serce globu — i jedna z jego żył, droga duszy naszej Wisła, ziemiom polskim niosąca życie bujną siecią rzek, strumieni, potoków. Entuzjazm dla wody aksamitnej, wrażliwej, a groźnej, panującej na trzech czwartych kuli ziemskiej, kazał autorowi zapalać się do niej niejednokrotnie zachwytem, przechodzącym w uwielbienie. Na tle takiego stosunku uczuciowego do mórz i rzek potraktowane zostały lądy i różne dzieła myśli i rąk ludzkich nieco po macoszemu. Autor uczynił to rozmyślnie, aby przy pomocy dosadnego kontrastowania odwrócić choć odrobinę serca polskie od lądów, a nieco uczucia zwrócić ku wodnym bezmiarom.

Sądzę, że ta tendencyjność nie przyniesie szkody czytelnikowi. A na pewno odpowie zamierzeniom, które autorowi przyświecały, — zamierzeniom zbliżenia serc polskich do morza, lepszego zrozumienia jego wspaniałości, pożyteczności oraz jego ogromnego znaczenia wychowawczego.

Polak nie powinien wstydzić się wad prowincjonalizmów, które stały się logicznymi następstwami postradania przez państwo polskie dostępu do morza.

· Stanął ponad swoimi ułomnościami, kto je poznał i kto dąży do zamiany ich na wyższe wartości. Polak ocknął się na szczęście z parowiekowego snu lądowego. Coraz silniejsza potrzeba ekspansji polskich sił narodowych na obszary całego świata wskazuje, że dusza polska rozrasta się, że pragnie już wyjść z ram własnego zbyt ciasnego obszaru. W tym dążeniu do wielkości niniejsza książka nie będzie przeszkodą, a raczej stanie się jednym z bodźców do walki o zdobycie przez Polskę światowej potęgi, — do walki, która wiedzie przede wszystkim przez morza.

I.

Machnąłem rękami — płynę. Ręce pełnią rolę skrzydeł. Jestem na Wiśle. Kajak — mieszkaniem. Świat — miastem rodzinnym. Ludzkość — rodziną. Otchłanna głębia atmosfery — oddechem piersi.

Troski opadają z grzbietu jak łachmany. Patrzę na Warszawę z czułą sympatią — teraz, gdy ją opuszczam. Wybaczam jej beznadziejną szarość dni codziennych, katorgę obłądnej nerwowości, więzienność kamiennych ulic.

Warszawa — wizja części mojej przeszłości, wżarta w duszę tysiącem obrazów, zamyka się w tej chwili w fragment architektoniczny na tle skrawka ładu.

Płynę. Cofają się obok stłoczone masy czworobocznych kamienic z przekrwionymi naroślami kominów. Dusi się w tłoku ciężkiej popolitości mistyczny gotyk. Gubi się w proletariackiej ciasnocie majestatyczny renesans. Panoszy się wieżami kościołów zarozumiały barok. Gdzieś rzucają wzrok tęsknoty ku niebu plamy żywej zieleni - oazy wśród kamiennej pustyni miasta.

Warszawa ucieka nieco ku górze. — Praga rozlewa się płytko na dnie Prawisły. Tutaj z ciżby niskiej monotonności wystrzela wspólnie dwoma gotyckimi wieżami kościół św. Floriana — dziwny, egzotyczny pielgrzym wśród masy ponurych domów i wysokich kominów fabrycznych. A dalej dużo zieleni dla ludzi i zwierząt. Drzewa o kędzierzawych głowach kupią się w liczne stada.

Już most Kierbedzia. Nabrzmiął rozhukanym potokiem pojazdów i ludzi. Wesoło wstępują pod górę tarasy królewskiego zamku; za nimi wśród barokowych ścian wielka praca państwowo-twórcza, wyszukane słowa, parady, przyjęcia wśród złota, marmurów, kryształów...

Niechętnym wzrokiem prześlizguję się po Starym Mieście. Na pamięć znam te szeregi wiekowych, posępnych kamienic, poprzierzynanych szczelinami ulic, wygryzionymi przez schodki. Stłoczone, brudne, zadymione życie. Wpierają się w nie tu i ówdzie nowe, monumentalne budowle żelazo-betonowe, — zarozumiałe nowoczesnością gmachy użyteczności publicznej.

Za gęstwą domów tryska zielenią park imienia Traugutta. Zdemaskowane wzgórze - obłudniki, nasypy fortu, z roli śmiercionośniceli przemienione na służbę dla zdrowia i przyjemności. Niby korona wesołych skwerów i ja-

snych dróg czerni się krzyż na wzgórzu. Znaczą miejsce stracenia członków Rządu Narodowego 1864 r.

Nad głową przepływa ponury, ciężki most drogowo-kolejowy, — żelazne ramy umiastowionej części Wisły. Za nim czają się czerwono-ceglaste, opite krwią bojowników o wolność mury i baszty cytadeli, — niezgrabne, przytłaczające. Były upiorem — stały się samotną, rdzawą plamą na tle roześmianego, jasnego Żoliborza. Domy nowej żoliborskiej dzielnicy, obramowane barwnymi ogródkami, świeże, nowiutkie, włączają figlarnie na piersi dawnych fortyfikacyj, śpiewając nową, jędrną pieśń siły, radości, pragnienia życia.

Miasto wysyła nieprzerwane szeregi budowli aż do Bielan. Za nimi rozpoczyna się królestwo przyrody. Ogarnęła duszę i zmysły atmosfera spokoju wiosek, przytulonych jak gniazda do życiodajnej ziemi. Idą mi naprzeciw lasy — świątynie ciszy i głębokiej zadumy. Witają przyjaźnie szpalery topól — zielono-płomiennych cyprysów północy. Uśmiechają się wdzięczną zielenią pastwiska. Nęcą bogatowzorzyste, wielobarwne gobeliny uprawnych pól i łąk. Srebrzysto-białe rybitwy zachwycają niby anioły, zwiastujące bliskość raj. A już najskuteczniej upajają promienie słoneczne, rozpuszczone w czystym kryształach przestrzeni,

wypełnionej hen pod niebo ożywczym napojem zdrowego powietrza.

Wszędzie życie na wielką miarę, głębokie, mówiące pięknem bez słów. Życiu temu wtóruje Wisła — szosa wodna, goniąca bezustannie ku otchłannej piersi morza.

Nadpływa statek. Ustępuje przezornie z drogi wiślanemu olbrzymowi. Z szumem wodospadu przewala się w pobliżu kajaka, waląc z pasją deskami koła w wodę, która ucieka na boki, poorana w fale, kręgi, zmarszczki. Kajak, ustawiony prostopadle do kierunku fali, kołysze się nerwowo. Po chwili zwierciadło rzeki wygładza się. Wiosłuję dalej równo, rytmicznie, — gram dziarskiego marsza mięśni.

Za mną pozostały już Młociny. Obok na lewo przesuwają się zwolna: Buraków, Prochownia, Łomianki, Kiełpin. — Na prawo: Tarchomin, Nowodwory, Kępa Tarchomińska. — Znam dobrze te rozmokłe obszary, pokryte piaskiem, laskiem, chatami, murowanymi domami i wdzięcznymi willami.

Ostatni raz płynąłem przez te okolice parę lat temu. Szalała właśnie powódź. Mętna, napęczniała wodą i mułem, naniesionym z połowy ziem polskich, runęła wtedy Wisła na te biedne wioszczyzny, lgnące do jej brzegu z pełnym zaufaniem. Z ogrodów, pól uprawnych i łąk uczyniła drogę dla tryumfalnego pochodu zniszczenia. Dachy chat i korony drzew, oble-

pione postaciami ludzkimi, przyglądały się z rozpaczą najazdowi dzikich hord, nasłanych przez ukochaną przyrodę.

I tak dzieje się dość często. Ludzie tutejsi narażają rok rocznie życie i dobytek na łaskę i niełaskę wód. Nie uciekają — ani nie walczą z żywiołem. Zapewne oczekują pomocy od najbliższego sąsiada — stolicy wielkiego państwa. Niestety Warszawa sama boi się Wisły, która często hula po jej przedmieściach, a potrafi zajrzeć także w samo centrum Pragi.

Chętnie podziwiamy Włochów, że budują osiedla u podnóża groźnego Wezuwiusza, — Japończyków, że lgną do straszliwego Fudżisanu. A przecież te mizerne, bezbronne chaty dotykają niemal niszczycielskiego żywiołu, szalejącego co roku, zdane na jego łaskę i niełaskę. Dobrze wiedzą mieszkańcy nadwiślańscy, że „Z wielką rzeką, z wielkim panem, z wielkim gościńcem złe bywa sąsiedztwo”. Ale uderzają w pokorę i rezygnację, jak ich bracia niedoli spod wulkanów czy znad nieujarzmionych wód.

Trudno. — Wisła niszczy, Wisła buduje. Zwyczajna kolej rzeczy.

Jabłonna. — W sensie turystycznym oznacza ta pachnąca nazwa pałac hrabiowski.

Pałac — miła rzecz dla oka — łakomy kąsek dla turysty. Oddaję należną magnatom wdzięczność za chwilę estetycznej rozkoszy. Tarasy, pyszna perspektywa, park bujny, dekoracja z drzew stuletnich, uprawnych pól, wiklin nadbrzeżnych. Przyrody użyto do podkreślenia piękna architektonicznego dla wygody zamożnej rodziny.

Rezyduje w pałacu, bawi się, urządza przyjęcia Maurycy Potocki. Przed nim czyniła to siostrzenica ks. Józefa Poniatowskiego, hr. Wąsowiczowa.

Jeszcze przed tym używał godnie wytwornego gmachu twórcą jego, ks. Józef, który wyhandlował Jabłonnę od biskupów płockich.

Pałac stoi dumny, zimny, nieczuły na ludzkie robactwo, co się dokoła zagnieżdżyło. Obok walące się rudery, zatłoczone mrowiem ludzkim, pogrążonym w zaduchu zagrzybionych izb. W pałacu — obszerne sale, chłodna pustka, zamieszkała po rogach kunsztownymi meblami, załatana po ścianach pięknie malowanymi płótnami.

Na szczęście dla tłumu — na żal dla turysty mało takich strojnych pałaców na Mazowszu.

Kraina ta nie wyhodowała, ani przygarnęła magnatów. Ot, parę sztuk dla kontrastu. Zbyt było tutaj rojno od pradawna, zbyt ubogo, aby pielęgnować rasowe okazy wytwornych ty-

pów. Kilka wsi — to na ludnym Mazowszu duży majątek. Szlachta kontentować się musiała — i musi — najczęściej kilkoma lub kilkunastoma morgami nieświatnej ziemi. Dwórki nie grzeszą przepychem. Po dwie izby z obu stron sieni. A jakże często sam pan szlachcic zakasywać musi rękawy, aby własnoręcznie orać, siał, zbierać, obywając się bez parobków i dziewczek. A cóż mówić o chłopach?

W pierwszych wiekach dziejów Polski żyło im się jeszcze jako tako, swoboda była większa, niż w innych dzielnicach. Ale od wieku XVI, gdy przyszła pańszczyzna, zapanowała nędza gorsza od morowego powietrza. Zniknęła pańszczyzna, — a nędza wlecze się nieśmiertelna, wytrwała, gryząc chłopą żywcem po dzień dzisiejszy.

Ale nie pora na utyskiwania społeczne. W Jabłonnie jest względnie dobrze. W pobliżu milionowego miasta łatwiej się pożywić. Ludność potrafi odłożyć nawet trochę grosza na budowę własnej świątyni. W pobliżu pałacu wyrastają powoli, ale statecznie masywne mury gotyckiego kościoła.

Wracam nad Wisłę z radością. Słońce obejmuje ciało jasnym, prześwietlającym żarem. Oddaję się porannej kąpieli słonecznej.

Tymczasem pozornie bezludny brzeg ożywia się. Granica rzeki i lądu odsłania swe tajemnice. W pewnym momencie wynurza się z cienia

samotnej, drewnianej budki, stojącej na brzegu, stary człowiek. Strażnik hrabiowskiej motorówki. Prawi o zachciankach jaśnie pana hrabiego, o nudzie swojej, wylęgającej z czekania na dzień, w którym właściciel pałacu raczy tutaj przybyć, by przejechać się łodzią.

Do brzegu przybija ogromna łódź. Wrócił na niej wytyczny, przywożąc latarnie, które co noc zawiesza na bojach.

Krajowy latarnik.

Potem nadchodzą właściciele kostrobatego, olbrzymiego, drewnianego kadłuba, który kolebie się przy brzegu. Ciężko gramolą się do niego, troskliwie przyglądają się kacierzom, chwytają w krzepkie dłonie potężne drągi, uzbrojone na końcach w żelazne rożki — i jazda na trudy wiślane!

Pracownicy Wisły. Królowa rzek polskich stanowi dla nich warsztat pracy i źródło zarobku.

Z lubą wdzięcznością spojrzałem na kajak, — ja, ptak, — wolny ptak, szukający zachwyceń i przygód. Pieśń żywiołowa wypłynęła na usta. Oddaje się znowu barwnej, płynącej szosie.

Modlin. Sześćdziesiąt kilometrów ciężkich, opasłych fortyfikacyj.

Twierdza... nieprzyjemne słowo. Urodzona

dla wojny, drzemie w okresie pokoju, a ożywia się w chwilach, gdy narzędzia śmiertelne przychodzą do głosu. Lubi krew, trupy, poryki armat, grzechoty karabinów. To sens istnienia tej służebnicy wojny...

Wojna... Jest w niej piękno, nieśmiertelne piękno. Wulkanizm uczuć. Zbiorowy szal. Zbiorowy realizm — i zbiorowy idealizm. Najwyższa podłość i najofiarniejsza świętość. — W każdym razie wielkość. Wspaniałe i groźne są twierdze w czasie wojny.

Krwawą, groźną plamę na tle łagodnego Mazowsza stanowi ta forteca modlińska.

Wdarła się ongi w serce ziem Polski, aby pomagać do ich ujarznienia. Aby masą kamieni ciężać nad wolnością autochtonów.

Do życia powołał ją mistrz wojny Karol XII. Najeźdźca ten dobre wybrał miejsce. Wisła i Narew miały osłaniać boki twierdzy. Naturalną obronność uzupełniła sztuka inżynierska.

Uznał ważność obiektu także geniusz wojenny — Napoleon I. Wielki cesarz stworzył tutaj twierdzę pierwszorzędną. Klęska małego kaprała stała się okazją oblężenia i upadku Modlina. Poddał się kamienny kolos 1813 roku i odtąd, dobrze służąc Moskałom, nie sprzyjał odruchom wolności.

Obojętnie patrzył na tragiczny finał powstania listopadowego. Nie dał ochrony siedmio-

tysięcznej załodze polskiej i trzydziestotysięcznej armii powstańczej, która zagościła tutaj po upadku Warszawy. Wdzięczni Moskale uczynili z Modlina najsilniejszą podporę swojego panowania nad Kongresówką.

Wojna światowa przy pomocy niemieckich armat otwiera straszne rany w murach twierdzy. Modlin względnie łatwo zdradza Moskali na rzecz nowych najeźdźców, oddając im osiemdziesiąt tysięcy armię rosyjską i tysiąc sześćset armat. Od 1920 roku Modlin zaczyna służyć narodowi polskiemu. Odtąd w obronie Polski czuwa kamienna pięść nad Wisłą.

Mury fortecy bodą wzrok przez pewien czas. Puszczam w szybszy ruch pióra wioseł. Chowa się wreszcie za plecami potop kamieni.

Wisła jest teraz jakby rozdwojona. Ciemnosina wstęga Bugo-Narwi zaznacza jeszcze przez pewien czas swoją odrębność, zanim utonie całkowicie w wodach wiślanych.

Zdala, na wyniosłym, prawym brzegu zarysowują się tajemnicze kontury jakichś budowli. To pierwszy w łańcuchu warownych grodów książąt mazowieckich, chroniących Wisłę na północ od Warszawy, — wielowiekowy Zakroczym.

— — — — —

Rozsiadł się na wysokim brzegu wpośród głębokich, dzikich wąwozów. Historia zna go już w XI wieku za Bolesława Śmiałego. Rozrósł się z czasem w miasto duże i możne. Był okres, gdy gościł w swych murach książąt mazowieckich, przybywających tutaj na zjazdy. W XVI wieku należał do ważniejszych miast w Polsce.

Rywalizacja pobliskiej Warszawy, która po dostąpieniu godności stolicy zaczęła szybko się rozrastać, podcięła zamożność Zakrocymia.

Do zupełnego upadku przywiodły go wojny szwedzkie. Z starego zamku obronnego książąt nie pozostały nawet ruiny. Podobnemu losowi uległ stary kościół parafialny. Dzisiaj nad małym, zbiedniałym, kilkutysięcznym miasteczkiem wznoszą się wśród mizernych domków dwie budowle: późnogotycki kościół św. Krzyża z XVI wieku oraz skromny rozmiarami, barokowy kościół św. Wawrzyńca z XVIII w.

Dziwny jest ten kościół św. Krzyża. Snać szukał przed ludźmi ochrony. Wparł się w miejsce doskonale już przez naturę obronne. Z obu stron frontowej elewacji najeżył się dwoma okrągłymi basztami, grubymi a przysadzistymi. Nieliczne, małe otwory w murach potęgują wrażenie obronności.

Na murach kościoła może uważny czytelnik

stylów architektonicznych obserwować dzieje inwazji kultury zachodniej w te strony. Więc naprzód gotyk. — Gotyk w XVI wieku? A tak. Gdy na zachodzie, a nawet u nas w Małopolsce czy w Wielkopolsce natchnienie mistyczne gotyku ustąpiło na rzecz renesansu, — Mazowszu nie śpieszno było do inowacyj. Gotyk kwitł tutaj w najlepsze w XVI, a nawet w XVII wieku. Taka tradycja niechęci wobec wszelkich nowości była już cechą Mazowsza od czasów pradawnych, począwszy od buntu Masława przeciw wprowadzeniu chrześcijaństwa.

Nie obeszło się bez późniejszego przeinaczania kościoła św. Krzyża. Wysmukłość gotyku przygniotły linie poziome, tworząc z budowli bryłę ciężką, niezdarną. Gotyk pomieszał się z renesansem i barokiem. Jakaś pasja ogarniała architektów w wykręcaniu linii, w zasklepianiu okien w jednym miejscu, a dziurawieniu ścian w miejscach innych. Aż zostawili dzieło może oryginalne, ale pod względem estetycznym niekoniecznie pociągające.

Wodna szosa prowadzi do Czerwińska. Urodziwa tajemniczym czarem minionych wieków jest ta wyniosłość, ukoronowana szacownym opactwem z XII wieku. Jakiż skok gigantyczny od niedalekiego stąd Modlina! Klasztorne

mury nie dla walk wyrosły. Odgrodziły od świata ludzi łaknących bezgłośniejszej pracy, skupienia, ciszy, tchnienia śmierci.

Wchodzę po stromym zboczach na szczyt. Zanurzam się w chłodne, surowe, ciężkie królestwo sędziwych budowli klasztornych. Wionie od nich zaduma i przenika do głębi. Ukazuje się dusza średniowiecza dziwna, dusza nie z tego świata.

Nie trudno wywołać przed oczami wyobraźni wizję wielu pokoleń, opętanych przez słowo Boże, przynoszących na to strome wybrzeże trudy ciała, zapachy serca i modlitwy myśli.

Wiek XI. Grono zakonników w białych sutannach, przybywszy z daleka, rozlokowało się na wzgórzu czerwiskim. Dokoła dzikie puszcze, pełne zwierza i pierwotnego ludu. Regularni laterańscy kanonicy (nazwa zakonników od rzymskiego senatora Plaucjusza Laterana) upodobali sobie to miejsce zaciszne, panujące nad potężną rzeką. Postanawiają założyć na wzgórzu świątynię pańską i klasztor. W ciszy i skupieniu opracowują architekci-artycyści-zakonnicy plan budowy.

Hasło: „Budujemy kościół na chwałę Bożą!” — pada między lud. Ogłuszone pobożną pieśnią, tłumy ciągną na miejsce wybrane. Świeżo wydarci z mroków i niesamowitych czarów pogaństwa, oddają Mazurzy siły swoje i mienie na cześć Boga. Taszczą z pól ogromne

głazy, kopią doły, zakładają wiecznotrwałe fundamenta. Kamienie i cegły rozrastają się wolą ludzką w ciało wspaniałego domu Bożego. Ludzie padają ze znużenia, ale duch pali się w nich i z ekstazą patrzy w swoją ofiarę dla tajemniczego stwórcy dzieł potężnych.

Wyrósł w XII wieku kościół i klasztor wspinały, że jeno książęce zamki zdolne są mu dorównać. Nakreślił dom Boży na pogańskiej górze wielki romański krzyż. Głębokim portalem, zdobnym kolumnami, wpuszcza wiernych do pełnego wzniosłych tajemnic wnętrza. Dwoma pysznymi wieżami, masywnymi, a wysokimi, spozierającymi dokoła dyskretnie przez nieduże otwory okien, uwdzięcznionych kolumnkami, wskazuje w niebo.

Wyrósłszy trudem ziemi mazowieckiej, rozrasta się przybytek Boży znakomicie. Zakonnicy otrzymują sześćdziesiąt trzy wsi i mnóstwo wszelkich darów od księcia i od ludu. Zacni mężowie pędzą przez wiele wieków żywot spokojny, oddany modlitwom i pracy. Wchodzą między mury klasztorne jednostki coraz nowych pokoleń.

Między murami niewiele zmian dokonywa się w ciągu całych stuleci. Nowiny, przynoszone z zewnątrz, przelatują jak ptaki wędrowne.

Mury przeżywają więcej może przeobrażeń, niż dusze wśród nich zamknięte. Na ponurą romańszczyznę wtargnął wysmukły gotyk. Za-

kwita w XV wieku śliczną klasztorną kaplicą, strojącą w polichromowane sklepienie żebrowe, oddaje się na usługi dzwonnicy, pełniącej rolę bramy („Brama Opata Kuli”), umiła i umiastycznia więzienne mury romańskie. W XVIII wieku puszczają zakonnicy na dostojne budowle pseudoestetę, barbarzyńcę figlarnego, upstrzonego różnymi cackami. Barok przynosi do kościoła cały kram hałaśliwych świecidełek i opanowuje niemal całkowicie jego wnętrze. Siada na ołtarze zakrętasami, rozrzuca wszędy figliki, pstrzy ściany świątyni zabawkami.

Pocziwy lud rzuca tęczę wiary między bezduszne ozdoby. W obraz Matki Boskiej Czerwińskiej, panujący na głównym ołtarzu, wlewa czar cudowności, barwi go podaniami, oprowadza własnymi tęsknotami. Dziełu przeciętnego malarza nadaje wieczne życie.

Trudno dziś dopatrzeć się w architekturze wnętrza czerwińskiego kościoła powagi surowego średniowiecza. Żal chwyta za serce. Oto los jednego z nielicznych zabytków romańszczyzny na Mazowszu.

Zabrakło już także w Czerwińsku regularnych kanoników laterańskich, pierwszych gospodarzy czerwińskiego klasztoru. Przejęty po nich klasztor w XIX wieku norbertanki z Płocka. I one musiały się jednak wkrótce z Czerwińskiem pożegnać. Dziedzictwo objęli oo. salezjanie, — księża praktyczni, bardziej

nowocześni, poświęcający czas wychowaniu i kształceniu młodzieży.

Idę, ogarnięty starymi murami, ku Wiśle. Po drodze rzucają się w oczy pysznie okute zewnętrzne drzwi kościoła z XIV wieku. Sterczy na nich masywny pierścień, przymocowany do brązowej głowy lwa. Z pierścienia zwisa łańcuch. Kuna. Nieśmiałe tchnienie inkwizycji. Do tego łańcucha przywiązywano kobiety za pewne wykroczenia.

Znalazłem się na dziedzińcu klasztornym. Zachwycający widok. Głęboko w dole Wisła, dalej barwny ułamek lądu i niebo, rozśpiewane niebieską jasnością.

Ucieka nastrój poważnej zadumy. Dusza rwie się do życia, do uroku tego świata. A dla ludzi, którzy uwięzili skarbce swoich żyć w tych szarych murach, ogarnia szacunek i współczucie. Srogie utrapienia przeżywać musieli młodzi więźniowie klasztoru, gdy patrzyli na rwącą w dale, pochłoniętą wieczną podróżą Wisłę, na słońce, odbywające bez przerwy lot po niebie, na ludzi, co się obok klasztoru przewijali. Szedł tędy i Jagiełło, gdy z rycerstwem przeprowadzał się poprzez Wisłę, dążąc pod Grunwald. Wielkie rzeczy działały się niejednokrotnie opodal.

Rwały się nieraz zapewne serca nowicjuszków zakonnych do wolności życia, zanim oczy ich

nie stały się ślepe na zewnętrzne blaski, zanim ciała i dusze nie poświęciły wszystkich myśli i czynów Bogu na ofiarę...

Smutno i poważnie, a dostatnio płynęło życie w objęciach czerwńskiego klasztoru. Wystarczy tę samą Wisłą przebyć 9 km., aby wchłonać zgoła inne nastroje i obaczyć kontrastowo różne obrazy życia nadwiślańskiego ludu.

Domki, przyczepione jak gniazda ptasie do jałowych brzegów, wesołe dla oka turysty malowniczością i bujnością kształtów niedociągniętych, powikłanych, chaotycznych — kryją ponure, biedne, odarte z wszelkiego uroku wnętrza-mieszkania ludzi ciężkiej pracy i wielkiego niedostatku.

Treść ich żywotów?

Łatanie sieci, przyczepianie żelaznego haczyka do sznurka wędki, czyhanie całymi dniami na marną zdobycz z rzeki, ciągnięcie promu, wyczekiwanie na groszowy zarobek za przewóz przez rzekę — i niewiele poza tym. Takie są zajęcia mężczyzn.

A kobiety?

Co dzień kilkunastogodzinna walka o byt, ciężka praca o nakarmienie rodziny, o stworzenie niewielu groszy na źródło życia dla

najbliższych kilku czy kilkunastu osób. Strach, jak ci ludzie się mnożą! „Błogosławieństwo” Boże pomnaża klęskę życia, wywołuje coraz groźniejsze przekleństwo nędzy.

Niewiele zmieniło się na tym poszarpanym skrawku ziemi od wielu wieków.

Takim jest powieśle sławnego ongi Wyszogrodu.

O, tak, sławnego.

Na wysokim brzegu rozlokowało się przed wielu wiekami starożytne grodzisko. W XIII wieku miejsce jego zajął słynny z piękności zamek Konrada mazowieckiego. A potem... Jak większość starych miast nad Wisłą przeżył Wyszogród rozkwit swój w XV i XVI w., a następnie na skutek licznych klęsk, rędzę i upadek.

Zginął w odmętach wypadków dziejowych także piękny zamek wyszogrodzki. Nie on jeden zresztą. Nadwiślańskie mazowieckie zamki nigdzie nie przetrwały do naszych czasów w jakim-takim dobrostanie. Gdzieniegdzie tylko sterczą smutne ruiny, a z dużej części zamków ani śladu.

Ten ostatni los spotkał także zamek Wyszogrodu. Wojny wyszczerbiły jego mury, połamały baszty, pokruszyły gmachy. Bezkształtne resztki budowli sprzedał rząd pruski na budowę domów w sąsiednim miasteczku. Dziś na wysokiej górze zamkowej mogę jeno

podumać nad znikomością dzieł ludzkich, nacieszyć się rozległym widokiem na Wisłę, przepasaną najdłuższym w Polsce, tysiącczterysta metrowym mostem, na rozliczne osady i daleką puszcę Kampinoską.

W samym miasteczku Wyszogrodzie, odległym nieco od Wisły, urządzili się ludziska nie najgorzej. Dotarły tu już niektóre urządzenia nowoczesne. Z ciekawszych zabytków warto obejrzeć ewangelicki kościół — dawny kościół franciszkanów z XV wieku, — katolicką świątynię św. Trójcy z XVIII wieku w stylu klasycystycznym i ładną żydowską, barokową bóżnicę.

II.

71 klm. od Warszawy... Niesie mnie Wisła nieustrudzenie coraz bujniejsza, wspanialsza. Pokazuje zachwycające widoki, wprowadza w tajemnice przeszłej i teraźniejszej swojej pracy.

Wisła.... Dziwna, niezwykła istota. Wciąż — co godzina i co sekunda rodzi się, wciąż przeżywa swywolne dzieciństwo i rozhukaną, jurną młodość i dojrzałość stateczną i starość leniwą — i śmierć głęboką. Co chwila przychodzi na świat w źródłach i co chwila umiera w morzu.

Jakże potężna jest tutaj, wielka i cicha, — a jaka mała i głośna tam — zaraz po wybrnięciu z ciemnych głębin ziemi na jasność powierzchni. Raduję się, że znam ją całą, wszystką jej treść i całe jej życie od kolebki do grobu. I nie podobna mi, patrząc na tę mętną, olbrzymią Wisłę, nie pomyśleć o tamtej dziecięcej, frywolnej.

Pamiętam, jak zdobywałem jej źródła. Miejsce urodzin Wisły w rozfalowanej krainie wzniosłości i baśni, twardej pracy i lotnych natchnień.

Skoczów, miasteczko na Śląsku Cieszyńskim. Zima. Zameć śnieżna. sroga, burzliwa i cudnie biała. W ciepłej izbie miło siedzieć i patrzeć w prostokąt okna, za którym szaleje atmosfera, napełniona rozpętanym puchem.

Białe gwiazdki pokładły się na ziemi grubym, srebrno-białym całunem. Chmury roztopiły się w słońcu. Nastął dzień słoneczny, jaszkrawy, oślepiający, nad głową głęboko szafiorowy, dokoła sino-biały, rozbrylantowiony.

Idę w stronę, skąd potok płynie, sunę wzdłuż brzegu pluszczącej cicho w okowach mrozu Wisłki. Ubrana jest odświeżnie, cała w kryształach lodu.

Koło Ustronia dotykam gór. Na prawo srebrno-biała wyniosłość, pokropiona ciemnymi centkami świerkowego boru i urozmaicona popielato - fioletowymi kreskami drzew buko-

wych. Czantoria, — siedziba groźnego Czantora. Znalazłem się na terenie legendarnych bojów o życie Wisły. Obszerna dolina, ubarwiona domkami, uświęcona kościołem. Góry wieńcem pokilkakrotnym otaczają dolinę, narastają, tłoczą się jedne obok drugich, jedne nad drugimi, — amfiteatralna widownia olbrzymów. Zdala, na południu, góra Barania. Piękna jest, majestatyczna, cała w bieli, u szczytu nieco zaróżowiona. Tam mieszkała królowa Borana, małżonka Beskida, matka Białki i Czarnochy. Te to córki, posłuszne rozkazowi królowej, ruszyły ongi ku dolinie, aby roznieść wody po świecie. Drogę zastąpił im Czantor. I puścił obie królowne dopiero na rozkaz matki ziemi. Uprzednio zaś wysłał falę „Wyszłą” na zwiady. Od niej nazwa Wisła.

Piękna bajka. Opowiedziały ją góry przez usta człowieka. Góry — zakłète legendy ziemi uniesień.

Idę dalej ku siedzibie Borany. Oczom bliska, nogom daleka. Wieś Wisła długa. Ściga mnie plamami chat, domków murowanych i will drewnianych.

Droga wiedzie ciągle pod górę, naprzód łagodnie, potem bardziej stromo. Barania staje się niewidzialną. Przeszkadza wyniosła zopora — Kubalonka. Nie zgubię drogi. Znam mowę słońca, nauczyciela stron świata. Zdobywam Kubalonkę na przełaj. Słońce bije w o-

śnieżoną górę coraz gorętszymi promieniami. Białość odbija gorące groty. Wśród żaru słońca i ciepła śniegu jestem jak w piecu nagrzanym.

Na szczycie Kubalonki postój. Lubię duszę szczytu. Doznaję uczucia, że góra stała się moim ciałem. Stąd prowadzi się rozmowy z górami jak z własną rodziną. Duma niesie myśli pod obłoki. Zda się, Bóg w pobliżu. Serce rozszerza się na wszystko, co oczy podadzą. A podają dużo. Poza potopem gór rozległe równiny, upstrzone osadami ludzkimi, ciągną się daleko, zda się bez kresu.

Znajduję czerwone znaki, moje przewodniki. Wpieram się w las, maszeruję to w górę, to w dół. Przecinam drogę, towarzyszkę potoku, pozbawioną w tej chwili wody i pnę się dalej ścieżką po zboczu bardzo stromej góry.

Schronisko. Dobrze jest rozgrzać kości, gdy słońce śpieszy ku zachodowi, gdy mróz naciśka i ostry wicher przeszywa. Czas nagli. Składam hołd pobliskim wykapom — miejscu narodzin Czarnej Wisielki, gdzie woda się czerni w wygryzionych dziurach śniegu — i brnę w kierunku szczytu Baraniej. Raz po raz wpadam powyżej pasa w lodowaty puch. Ślady nóg ludzkich urwały się. Kieruję kroki wzdłuż linii wysokich pali, po grzbiecie wyniosłego łańcucha. Coraz bardziej przybliża się jakaś budowla, koronująca szczyt. Widzialna była

aż z Wisły jako mizerna kropka, teraz odśłania ciało potężnego rusztowania.

Krajobraz coraz cudowniejszy i coraz bardziej groźny. Odczuwa się wyraźnie władztwo zimy. Brylantowy śnieg nabiera uśmiechu wroga. Wicher, sprzymierzony z wzrastającym mrozem, naciera gwałtownie, jadowicie.

Szczyt. Właśnie słońce zachodzi. Radość rzuca ciepło od wnętrza, od serca. Jaki cudny widok! Ale mroźny wicher rozwścieklił się, atakuje twarz i ręce milionem ostrych szpilek, zmusza do obrony. Ciska się z otchłani atmosfery, od gór olbrzymich, które się oczom ze wszystkich stron otwarły. Zdmuchnąć chce z kraju olbrzymów natrętnego karła.

Karzeł nie daje się. Oślepl na ból. Z wrogich żywiołów wykrada poczucie mocy. Zanurzony do połowy w złowrogim śniegu, strzela roziskrzonym wzrokiem na cuda przyrody.

Tatry!

Na czubkach tatrzańskich turni pali się płomień pomarańczowo-złocisty, żywy, pobudzający ruchomą czerwienią, płynącą jak łuna pożaru ku niebu.

Cudne i mistyczne są Tatry, ogarnięte pożogą, płonące! Gdy z gór ciemniejących już, ciężko zapadających w noc, wychodzi ogień-dusza zamierającego dnia.

Rzucam wzrok dokoła: Magórka, Babia Gó-

ra, Beskid Śląski... Tysiąc kształtów, barw, tajemnic...

Ból przywołuje do opamiętania. Wieczór zapada. Którędy zejście?

Szukam drogi powrotu. Ale coraz nowe cuda mącą rozsądek. Tuż obok świerki pochyliły się pod przewagą śniegu, naśladowując kompanię pokutników, posuwających się na klęczkach ku szczytowi. Poda mną kocioł, wydrążony w zboczu góry. Przyczaiło się w nim światło różowo-kremowe. Nad kotłem świerki z rozczapierzonymi ramionami, niby czarownice — wiodą niesamowity taniec bezruchu.

A tam, a tu — a ówdzie...

Wysiłkiem woli wydzieram się spod wpływu sugestii piękna. Wzywam na pomoc nędznych, ale wypróbowanych przyjaciół ludzkiego bytowania: spryt i rozsądek. Tam, nisko — wybawienie. Tutaj, na szczycie, chwila ekstazy i śmierć. Pędzę w dół, prosto, na przełaj. Ostatni czas. Nogi odrętwiały, ręce skostniały, wnętrza ssie głód.

Mrok szybko zapada, zagęszczony ciałami gór i świerkowym lasem. Śnieg stał się bledszy, niebrylantowy. Przecinają go czarne węże potoków.

Na próżno szukam śladów stóp ludzkich. Szczęściem pozostała na zachodniej stronie nieba barwna wstęga — jedyny teraz mój dro-

gowskaz. Trzymam się go jak pasa ratunkowego. Chwilami puszczam się śladami zajęcy, śladami znanego sobie życia. Ślady jednak znikają w podszyciach, trzeba je rzucać, brnąć dalej, na ślepo.

Tymczasem niebo uległo na zachodzie inwazji ciemno-szarego mroku. Szukam nowego znaku. Jest. Zakwitł na granacie łąki nieba najcudniejszy kwiat — Venus. Teraz ona mnie prowadzi.

Natrafiam nareszcie na ślady ludzkich stóp. Ciężkie, chłopskie buty poraniły nieskalaną powierzchnię śniegu—to moja nić nadziei. Ślady idą przez las. Przekraczam wielokrotnie potoki, które dają życie Wiśle, przekraczam je z uczuciem pieśczoły dla tych zaczątków wielkiej rzeki. Trafiam wreszcie i na wodospad Białej Wisłki. Od niego biegną już szyny, wyrzeźbione przez narty. Odtąd Biała Wisłka staje się moim przewodnikiem.

Interesujący to przewodnik. Stara się rozpraszać zmęczenie moje i monotonność marszu czarodziejskimi rozmowami. Pluska się, dzwoni pod pokrywą płyt lodowych, to znów spada z hałasem w groty precudnie rzeźbione, obrosłe kryształami. Niekiedy szemrze cicho i tajemniczo, zakuta grubą powłoką lodową.

Lodowe okowy niegroźne dla mego przewodnika. Mocny jest. Na każdym kroku pokazuje rezultaty swojej siły. Oto przedarł ciało

skalistej góry na dziesiątki metrów wgląb. Oto poszarpał skały na głazy i kamienie i potaszczył je daleko.

Taka jest Wisła niemowlęca, Wisła-potęga już od kolebki.

A tutaj... poniżej Warszawy, Modlina, Wyszogrodu?... Powaga i majestat. Groźny spokój. Ukryte głębie. Melodie przyciszone. Surowa dobroć. Groza niestraszająca. A nade wszystko tajemniczość.

Czasami oblicze królowej rzek Polski wydaje się przerażająco obojętne na wszelkie ciepło ludzkiego serca. Zakręca świdry-wiry, przeraża głębią, pochlupując; „Wejdz, przekonasz się, czym jest życie ludzkie wobec mojej potęgi”. Mętna, potworna, katu podobna.

Kiedy indziej Wisła pełna jest łagodności, pogodnego nieba, roztacza czar niezrównany jak olbrzymi, świetlany duch dobroci.

Dziwną jesteś, nieprzeniknioną — o Wisło...

Dziwną i nieprzeniknioną jesteś dla niewtajemniczonych. Dla tych, którzy pragną cię poznać naprawdę i otwierają ci swoje serca, umiesz być naturalną i wyrozumiałą. Im dłużej przebywam z tobą, odsłaniasz duszy mojej coraz intymniejsze tajemnice, oczarowujesz ją jak przebogata kochanka.

Nie po raz pierwszy sypiesz przede mną dary, jakich by mi najlepszy i najbardziej szczodry przyjaciel ofiarować nie był w stanie. Wszedłszy ze słońcem, błękitem nieba i chmurami w dostojne, twórcze przymierze, wyścilaszaś tysiączne kształty i bezkształty w najkunsztowniejsze kolory. Z dnia powszedniego czynisz wizję świąteczną, natchnienie nieustanne, zastawiasz ucztę, w czasie której sam Bóg-Wszechstwórca raz po raz wznosi na cześć piękna toasty, objawiając arcydzieła Przyrody.

Oto wstaje poranek letni, pogodny, cichy, gotujący się do zbożnej pracy siania na ziemi i niebie ziaren uśmiechu. Niby najczulszy artysta chwytasz natychmiast, o Wiślo, wszystkie barwy nieba, czynisz z swojego ciała drugie niebo, przeniesione na glob ziemski — i pomalowanymi wodami dodajesz jeszcze cudom czar ruchu, znamię życia bujnego, niestrudzonego.

Gdzież jest drugie serce na ziemi, które potrafi tak czujnie, tak subtelnie bratać wszelkie piękno nieba i ziemi w swojej jaźni, jak ty, przedziwna wstęgo wodna?

Nikną na niebie poranne modlitwy kolorowe, toną w głębokim morzu błękitu. I ty natychmiast nastrajaszaś się błękitnie i głęboko, szczytnie i potulnie, majestatycznie i sielankowo. Szemrzesz słonecznie-lotnie i głębinowo-

ciężko. Chłodem czoła podkreślasz urok upalnego lata.

Dmuchał wiatr. Lubisz żywioł ruchu. Płynąc nieustannie, bawisz się niezliczonymi falami, podrygując ku górze. Z wiatrem w przymierzu, stajesz się cała ruchem, dążeniem poziomym i górnym, codziennym i wzniosłym. Wielowestchnieniową modlitwą.

Często zdarza się, że na błękit nieba szare mgły napadną i, kąpiąc się samolubnie w blaskach słońca, rzucają na ziemię cień zły, bezradosny. Chmurami poszarzona, dążysz, Wiśło, cicho i smętnie do swego kresu jak pracownik cierpliwy i wytrwały, by wypełnić swe przeznaczenie. Ale chmury nie zawsze są jednostajne i przestronne jak niebo. Czasami płyną na błękitcie fragmentami jak zjawy przeróżne, kreśląc się obrazami-widmami, pomysłami, natchnieniami. Gardząc ostatecznym skryształizowaniem się w jakąś trwałą postać, rozplývają się w niebieskości. Dziwne próby pisania trzema wymiarami na błękitach nieskończoności...

Te obłoki — niepisane poematy — traktujesz, Wiśło, jako chwilowe dekoracje. Ale kiedy chmury - pracownice rozpoczną swą pracę dla ziemi, zbierasz ofiarnie drobne ziarna deszczu, te, którymi mgły w twoje wody ciskają i te, których lądy pobliskie przyjąć nie chcą, nakarmione wodą do syta, aby treści płynącej

nigdy w tobie nie zabrakło. Wisło-arterio ziemi polskiej, wiecznie krwią jej pulsująca, — dostawczyni płynu życia dla morza — serca globu.

Wypłynęła z głębin noc posępna i głucha, nieczuła na muzykę barw, chmurami od gwiazd osłonięta. Dostrajasz, Wisło królewska, pierś wrażliwą do potęgi i majestatu wszechświata. Szept twoich wód nie jest już szeptem pieszczoty, lecz głosem stłumionym nieznanej otchłani. Szept twój jest wyznawaniem przed miłującymi wtajemniczonymi wielkich prawd o wieczności przeczuwanego Boga i o znikomości wszelkich pociągających blasków tego świata. Dajesz moc i głębie marzeniom ludzkim, nastrajasz serce na tony kosmiczne.

W tej ciszy niezgłębionej, w tym posępie odnajduję nowe piękno, inne, mocne i groźne, pociągające ku sobie jak głos nimfy, pogrążonej w odmętach zatopionego pałacu.

Rozstąpiły się kurtyny chmur: scena Nie skończoności odsłonięta. Glob okruszyny się; duch swobodny ludzkości rozrasta się na wszechświat, wchłania oddechem — Boga. Wisło, stajesz się po raz pierwszy zdezorientowana — dostrzegasz gwiazdy mdło i bez uczucia. Jak dusza utrudzonego życiową włóczęgą człowieka.

Lecz, kiedy zakwitnie na glebie bezmiaru błyszczący kwiat księżycy, malujesz się zalot-

nie jego barwami i blaskami. Przesiewasz drganiem wód srebrzone złoto nieba, ofiarowane ziemi, na drobną, lśniącą monetę, — bawisz się rozdrabnianiem bogactwa jak swywolne dziecię. I jak dziecko stajesz się wrażliwa na pieszczotę zaziemskiego przybysza. Łada obłok, unatrętniający się między księżyc i twoje wody, posępi twoje oblicze, że stajesz się naraz ponura, groźna i wroga.

Taką jesteś, o Wisło! — i jeszcze inną i nigdy się nie powtarzasz. Każdy podmuch wiatru zmienia grę uczuć na twym wyczulonym obliczu. A jak namiętnie przejmujesz się sercem powietrza — temperaturą, która wywołuje u ciebie przedziwne reakcje!

Kochasz nie tylko lato — najmilsze dziecię słońca. Miłujesz także szczebiocącą radość wiosny, rozbawioną świeżą, beztroską zielenią, rozigraną czułymi barwami, natchnioną zapachami kwiatów. I kochasz smutną jesień, gotującą latu piękny pogrzeb zimowy.

Wstrętą jest ci tylko zima, wróg słońca i ziemi. Przed jej martwotą zakuwasz się w gruby pancerz lodowy. Wody twoje nie odbijają wtedy nieba, ani słońca, ani gwiazd, ani brzegów sposępniałych, odartych z życia i urody barw. Skalą się na powierzchni w kryształ nieczuły, pod nim inne przemycają się do morza cicho, konspiracyjnie.

Skoro tylko promienie słońca przyniosą

znowu gorętsze pocałunki ciepła, rozsadza cię, Wisło, straszna, niepohamowana radość. Z żywiołowym hukiem rozpadłszy się, twoja lodowa powłoka tłumnie i gwarnie oddaje się w objęcia niezamarzniętej wody, ochotnie rozpływając się w słońcu. Opętana szaleństwem życia, pędzisz wtedy ze zdwojoną energią ku morzu.

Taką jesteś, Wisło, naśladownico boskiego piękna, zwierciadło nieba i ziemi.

Nie cała jednak pełnisz rolę zwierciadła darów przyrody. Najsubtelniejszą część twoich wód, podjętą skrzydłami ciepła, wysyłasz ku górze jako miękkie, lekkie westchnienia — mgły. Rodzisz smutek, otulasz się weń, jak człowiek, znużony światem. Wody twoje nie patrzą wówczas w cudze blaski i cienie—przejmują się własnym sercem. Mglistą skargę niesiesz na okoliczne pola, wypełniasz nią lasy i wsiąkasz nią aż pod strzechy chat.

Skargę niesiesz — czy tchnienie miłości?

Jakie kryjesz tajemnice i jakie dumy w tobie żyją, niechaj opowie mądrość ludu, zrodzona w przeciągu setek lat serdecznego, najczulszego z tobą pożycia.

Wisło, opowiedz niewtajemniczonym legendy, którymi lud wyświęcił cię ongi na boginię,

a potem ukoronował na królowę. Opowiedz tym, którzy w tobie widzą masy mętnych wód, ożywionych trochę mięsem ryb, a na dnie martwy żwir, piasek i muł, — opowiedz im owe dziwa, które unoszą się ponad wodami aureolą niewidzialną, a niemniej piękną, niż szaty dostojnej władczyni. Niech miłośnicy twoich wdzięków, którzy towarzyszyć ci będą od źródeł do morza, przeżyją nie tylko cudną bajkę na jawie, ale jeszcze tę drugą, niemniej urodziwą, wyrosłą w fantazji twoich trubadurów. Niech, zasłuchawszy się w szmery płynących nieustannie wód twoich — zegara tysiąceci, — połączą rzeczywistość z legendą i zrozumieją tajemniczość duszy, błędzącej codzien od świata realnego do marzeń sennych.

Od samych źródeł Wisły płyną wraz z nią legendy. Poznaliśmy już królestwo Borany i córek jej, obu Wisełek — oraz groźnego rycerza Czantora.

A potem pamięć ludu niesie opowieść o Wandzie, która uświęciła Wisłę gorejącą miłością ojczyzny. O Krakusie, pogromcy smoka w grodzie podwawelskim.

O flisie, który wzdragał się przyjąć św. Macieja na patrona, dopóki go tenże razu pewnego za czuprynę z topieli nie wyciągnął.

O wsi Piotrowinie obok Kazimierza, o którą się król ze świętym Stanisławem Szczepanowskim prawował, aż, rozeźlony jego cudami, pozbawił go życia.

O wiosce Zastowie Polanowskim, co ją rybak Zasytów na kępie wiślanej założył.

O Sieciechowie obok Dęblina, gdzie tyle trupów wojowników pogańskich i polskiego rycerstwa, powrzuconych po bitwie w wody wiślane, do kupy się zwarło, że Wisła przez nie przepłynąć nie mogła i nowe koryto wyźłobić sobie musiała.

O św. Piotrze, który ulitował się nad flisami, gdy pod Warszawą holowali ciężkie statki w górę rzeki i który nakazał wodzie, aby płynęła miejscami pod górę dla dania flisakom możliwości wypoczynku, od czego „piotrowiną” nazywają wodę, co płynie na Wiśle pod prąd.

O krzyżu cudownym, umieszczonym dzisiaj w ołtarzu kościoła św. Jana w Warszawie, który swego czasu z rozpiętym na ramionach Chrystusem płynął stojąco po powierzchni Wisły przeciw prądowi, a mieszkańcy Warszawy nie mogli zbliżyć się do niego, chociaż cisza panowała w powietrzu i na wodzie. Dopiero, gdy jeniec turecki, który ongi krzyż uratował przed znieważeniem przez pogan, podpłynął do krucyfiks, ów przechylił się w jego ramiona i dał się zanieść na brzeg niby dziecko.

O św. Jacku, który koło Wyszogro-

du zdjął z siebie kapicę, rozpostarł ją na wodzie i przepłynął na niej rzekę wraz z trzema braćmi.

I tak idą coraz inne legendy dalej, towarzysząc Wiśle hen, aż do morza.

Ale to są wszystko epizody, przywiązane do poszczególnych miejsc Wisły. Ma jednak królowa rzek polskich cała, jak długa i szeroka, opowieść o tajemnicach swego wnętrza, o duchu, który ją ożywia, o wodzie, która ciągnie złowrogo i kusi pieszczotliwie, która jęczy i wzdycha, to znów śmieje się i przymila i pieści jak najlepsza kochanka.

Topielec — duch Wisły.

Każdy mieszkaniec nadwiślański spotkał go kiedyś napewno, ale nie każdy wie, że to on. Jednemu ukaże się jako poczciwy staruszek, drugiemu przedstawi się chłopem. Potrafi też przybrać każdą inną postać. Widziano go na przykład jako barana, świnię, psa, czy królika, to znowu udaje raka czy rybę, albo znowu zmienia się w worek, leżący nad wodą. Bywa, że wystroi się jak pan w czarne ubranie, albo oblecze mizerną kapotę. Każde udanie mu za jedno, byle człowieka przynęcić do wody i utopić.

W rzeczywistości jest duch Wisły brzydkim karłem z dużą głową, z rozczochraną czupryną, długimi, cienkimi nóżkami i takimiż rękami.

Topielec rzuca się na człowieka zniecka i ciągnie go do głębi. A silny jest, że mało kiedy zdarzyło się komu, aby mu z wody żywcem uszedł. Samym spojrzeniem zabija, jeśli mu kto nieopatrznie spojrzy w oczy.

Kiedy człowiek wpadnie do wody, drzwi do pałacu Topielca otwierają się, a potem zamykają się nad tonącym. Nieszczęśliwy staje się łupem złego ducha. Dusze utopionych chowa Topielec do garnków i przykrywa je szczelnie pokrywami. Garnki umieszcza w pałacu, który zbudowany jest z wody. Śliczny to pałac. Ściany ma kryształowe, wysadzone brylantami i perłami. Pokoje we wnętrzu ze złota i wszystko w nich złote albo kryształowe. Nawet śmieci są ze złota.

Złościwy duch Wisły bawi się nie tylko wciąganiem ludzi do topieli. Rozrzuca rolnikom siano i słomę z kop, wyjada młynarzom zboże, topi gospodarzom bydłota, konie, drób.

Lud broni się przed Topielcem świętościami lub jakim ostrym narzędziem żelaznym. Czasem urządzają mieszkańcy nadwiślańscy istne polowanie na Topielca niby na złego smoka. Czasem znów zdarzy się, że jaki chłop śmiały, zaopatrzony w szkaplerz, różaniec, wodę święconą i w inne bronie święte, rzuca się niby nurek w głąb wody, chwytając mocno Topielca i wraz z nim wyciągany bywa przy pomocy łańcucha na brzeg. A wtedy udręczeni używają

sobie na złym duchu i puszczają go dopiero, gdy złoży przyrzeczenie, że przeniesie się w inną okolicę.

Skąd wzięła się ta zła istota, która rządzi Wisłą?

Dawne to, bardzo dawne dzieje. Wiadomo wszystkim, że pewnego razu podniósł zły anioł z garścią zbuntowanych dusz bunt przeciwko Bogu. Za to został przeznaczony do piekła. Ale anioł nie zdążył w ciągu przykazanych dni i nocy czterdziestu dolecieć do miejsca kary. Wpadł do Wisły i w niej przebywa po dziś dzień jako okrutny Topielec.

Tak to uroczą naszą Wisła pełni rolę przybytku drapieżnego ducha. Czy tak ma pozostać na zawsze?

Ten dziwny Topielec, ten anioł upadły, który, nie mogąc zdążyć do piekła, stał się władcą naszej Wisły, nie został może do dzisiaj należycie zrozumiany? Kto wie, czy te opary, co się tak często podnoszą nad rzeką, te mgławicowe myśli Topielca, które rozsnuwają się po całej Polsce, nie po to wstępują do chat wieśniaczych i domów miejskich, aby opowiadać o smutku anioła, którego powołaniem było i jest prowadzić Polaków do morza, ale który poprowadzić ich dotąd nie był w stanie? Może Topielec — duch Wisły — boleje nad narodem, który boi się wielkości morza dlatego, że wielkość owa jest tak blisko granicy śmierci?

Może każdy naród ma rzekę-diablicę, którą miłosną swoją pracą na wodach świata wyświęcić ma w anioła?

Gdy Polska prawdziwie oceni sercem i mocą całego narodu znaczenie morza, gdy spełni wielką misję Wisły niesienia narodu na oceany, może Topielec przestanie być złym karłem, czyhającym na życie ludzkie? Może naród morski wybawi go z przekleństwa Bożego i odda niebiosom — aniołem?

III.

Płynie po Wiśle łańcuch niskich, płaskich, wodą pokrajanych wysepek. Tratwy. Wysepki zbudowane z drzewa. Zwłoki kawałka lasu z gruba ociosane, wyrzucone na wodę. Pnie wielkich drzew, obłupane z kory, pokaleczone, w tafle pozbijane gwoździami, w pasy powiązane tęgimi szrykówkami z kręconej brzeziny, w tratwy zогromnione mocnymi linami lub drutami.

Płyną tratwy jedna za drugą, tworząc razem wspaniałą kolej — królestwo retmana, władcy flisów i oryli.

Niegościnnie to królestwo. Po bokach, a także od cała i od głowy, — zewsząd woda w nie tłucze.. Woda czyha od spodu, włazi, gdzie tylko znajdzie lukę, moczy ludzi, kropi, hałas-

je. Rzeka — mokrość, chłód, nieprzystępność. Pnie, z rzeką w przymierzu będąc, stały się oślizgłe, stopom nieprzyjazne, starają się władcóm swym nogi poderwać i wtrącić ich do wody.

Tratwa to nie łódź, wypukłym, napiętym brzuchem chroniąca lokatora od przykrości zbyt częstej wodnej pieszczoty. Pałac władców kolei — retmana i szypra — „karbówka”, niewiele różni się od psiej budy. Mieszkania zaś przedników, flisów i oryli zdają się zapraszać do swych wnętrz jakieś ziemne żywotka.

Nie trapią się niewygodami flisacy. Pustynną niegościnnosć tratwy zalewają bujnym życiem gromkich okrzyków, wesołych hukań i dosadnych przekleństw. Ukwieczają nagie belki tęsknymi pieśniami. Na pociemniałym powietrzu wieczora rozpinają barwne festony muzyki harmonikowej lub promienie czułych drzeń skrzypcowych. Wspólną niedolę rozjaśniają światłem braterstwa, umilają słodyczą równości. Retman jest roztropnym wodzem i kochającym ojcem. Przednik pełni rolę starszego brata, — wszyscy stanowią zgraną rodzinę.

Nędza, po miastach chuda i koścista, cuchnąca wódką i zbrodnią, nie deprawuje serc flisaczych, pobogaconych cudami przyrody. Dusz bohaterów wiślanych mają pokarm przedni, szlachetny. Dlatego ciałom wystarczy po-

karm ubogi, jednostajny, spożywany nie dla przyjemności smakowania, a dla konieczności utrzymania życia. Cykoriowa kawa ze słoniną, fiutka, zupa ziemniaczana ze skwarkami, — gotowane ziemniaki, czarny chleb, pęczak, jaglana kasza, trochę tłuszczu — oto wystarczający repertuar dla żołądka flisaczego na długie miesiące.

Ciało i duszy przewodzi praca. Praca miła i szlachetna, choć bardzo ciężka, dyktowana przez przyrodę, podawana przez nią bezpośrednio człowiekowi „z dłoni do dłoni”. To mamka (mgła) legnie na Wiśle wygodnie, napęczniała, mleczna — i przerwie lot. Zaraz szryki, natchnione flisaczymi mięśniami, wpijają się w dno, zatrzymują z wszystkich sił drewniane kolosy, walczą z prądem, nie puszczają. Kolej staje.

To znów nadleci stryjasek i mamkę wygna precz z nad rzeki, zachęcając do dalszego lotu. Już retman wskakuje do łódki, leci przodem, znaczy ślad dla tratw. Maca dno Wisły, raz po raz wiosłem gruntuje. Gdzie znajdzie odpowiednią głębokość, wtyka w piach zieloną gałąź wikliny, miejsca zbyt płytkie oznacza złamaną gałęzią.

Szlak wyznaczony. Jazda! — Leci ku przednikom znak umówiony. Kolej odpowiada gromkimi okrzykami. Krzątania, nawoływania. Podnoszą się ogromne, ciężkie, grabowe szry-

ki, idą w ruch przedpotopowe drygawki. Masa drzewa rusza z miejsca.

Ale... drrr!.... siła niewidzialna wstrząsnęła tratwami, zahamowała drzewo. Przyroda krzyknęła przy pomocy zdradzieckiej mielizny „stój!”

Czeka flisaków i oryli nowa, ciężka praca. Ale nie buntują się. To ukochana przyroda każe im odbywać ze sobą zapasy.

Nie łatwo zdjąć tratwy z haka. Gromada wchodzi do wody z podwiniętymi daleko rękawami koszul, z podkasanymi wysoko nogawicami. Ludzie, uzbrojeni w szprysy, odpychają tratwy od haka. Padają obficie słone krople potu do Wisły, mięśnie prężą się jak węże, gotowe do skoku.

Po długich zmaganiach rusza drewniana wyspa, by znowu po kilku czy kilkunastu kilometrach drogi zahaczyć się o piasek.

A ile innych przeszkód, walk, niewygód... A wichry, burze, ulewy, chłody, upały...

Taka dziwna mordęga trwa całe dnie, tygodnie i miesiące.

Istotnie — dziwna. Dla nas, ludzi miast, te drewniane wyspy, w wygłędzie nietknięte od wielu setek lat, przedstawiają obrazy wręcz egzotyczne.

Żyją tratwy w stanie pierwotnym, jakby się nic dokoła nich nie zmieniło. Jakby maszyna była przedmiotem bajek. Jakby postęp techni-

czny należał do niesamowitych wytworów bujnej wyobraźni.

Jak przed tysiącem lat wloką ze sobą wody Wisły stosy prymitywnie posklecanego drzewa z dalekich okolic do Kujaw czy Gdańska w ciągu długich tygodni. Jak ongi kierują biegiem mas drewna drygawki-wiosła dla wielkoludów. Jak ongi sterczą nad powalonymi pniami potwornie ciężkie szryki, niby świadki zniszczonego przez cyklon skrawka lasu. Wariacka jest taka praca przy drygawce czy szryku. Wypija z oryla wszystkie siły, zalewa ciała strugami potu..

I pomyśleć, że po odbyciu całej ryzy flisak musi wydać sporą część zarobku na opłacenie kolei, by móc znowu odbyć nową ciężką wyprawę.

Postęp techniczny, wyniszczanie lasów nadrzecznych i inne czynniki zabijają flisactwo. Znikną tratwy prędzej czy później z powierzchni ziem polskich, jak zniknęły komiegi, dziubasy, skututy, półszkutki,— jak znikają galary.

A jednak żal tych prymitywnych, sielankowych, płynących wysepek. Jak żal wszystkiego, co ginie, a co jest piękne. W ciężkim zmaganiu bezpośrednim z przyrodą tkwi urok, którego nie potrafi zastąpić stalowy koń maszyny.

Z dużą dozą sentymentu patrzę na tratwy i na flisaków — ostatnich rycerzy wiślanych.

IV.

Na widnokręgu Płock. Lubię to miasto. Magnesem historii wyciąga duszę z chaosu teraźniejszości. Jego współczesność wydaje się cieniem, a przeszłość rzeczywistością. Nie zdołało przyćmić wielkością dzisiejszego postępu pięknych światel minionych czasów.

Przybliża się zwolna wysoki brzeg, pokrajany w pagóry, udekorowany szeregiem budynków, wśród których wystrzela osiem wież kościelnych o stylach, natchnionych przez wiele wieków. Na czoło rzeźby wybija się przepaścista góra Tumska, wpatrzona w niebo dwoma ostrymi wieżami i majestatyczną kopułą. Tulą się obok wyniosłe świadki prastarego zamku książąt mazowieckich: wieża Szlachetka i wieża Zegarowa. Zbocze góry oblepiły barwne domki Powiśla i Rybaków. Z góry następnej patrzy stara, ponura dzwonnica kościoła farnego, a za nią w głębi uśmiecha się subtelna wieża kościoła mariawitów.

W tej chwili tonie Płock w świetle popołudniowego słońca. Gra cieni jest zawsze, nawet w obliczu jednostajnego naświetlenia, w mieście tym niezerównana.

Pamiętam ten zabudowany brzeg w różnych porach dnia. Najwspanialszy jest bodaj, gdy żegna go zachód słońca promiennie rozmistyczniony. Labirynt zaułków wychyla się wtedy

na wysokościach dachów. Odchodzące słońce każe blachom błyszczeć, szybom krwawić się i płonąć, a ślepym otworom podkreślać tajemniczość wnętrza.

Z mroków zmierzchu wychodzą znów kształty widmowe, szare, pustelnicze — jak skondensowane, ociążałe, fantastyczne cienie.

Nocą bohaterami stają się światła, rozrzucone po zboczu i na szczytach. Z poza nich wyzierają tajemnicami ciemniejsze od nocy budowle. Stugłowe, stuokie, smocze miasto.

Na tle dość jednostajnych równin Mazowsza objawia się Płock jako klejnot pierwszorzędnego gatunku. Kto go nie zwiedzi, nie oceni w pełni kraszy Mazowsza.

Wspinam się po schodach kamiennych na zbocze góry Tumskiej. Towarzyszą mi z jednej strony ciemno-zielone, nieruchome tłumy krzewów zwartych, twardych, trzymających się kurczowo przepaścistych usypisk ściany górskiej. Stoją tu od paruset lat, sprowadzone z Chin, ramionami korzeni trzymając piachy i gliny, dążące ciężarem ku rzece, gotowe, by się z nią zapaść. Poczciwe krzewy — gromada karłów, podpierających wzgórza, ratujących nadbrzeżne części Płocka od zagłady! Z drugiej strony drażnią wzrok domy, niestare wiekiem, a oszpecone niedbalstwem ludzi interesu, którzy przyczepili się do zbocza, pochłonięci żądzą wyzyskania miernych urządzeń

portowych. — Brzydkie pasożyty na ciele urodziwego krajobrazu.

Zdobycie szczytu wynagradza wielokrotnie trud wspinania. Znalazłem się w zaciszu skwe-ru, czarującego głęboką zielonością. Dobrze uczynił architekt, że połączył mury katedry z ogrodem, bogato poilustrowanym kasztanami o bujnych koronach i wysmukłymi, szybko ku niebu strzelającymi płomieniami topól. Żywy ogród tworzy piękną całość architektoniczną z głuchą masą katedry, podcieniowując jej barwy i mocą kontrastu podkreślając znakomicie dostojny jej ogrom.

Majestat roślących drzew ściele się u podnóża świątyni jak mizerna trawa u stóp człowieka. Patrząc z pomiędzy bujnej zieleni na wieże, doznaje się wrażenia wielokroć spotęgowanej ich wysokości, tym bardziej, że rzucają się one w górną przestrzeń nie jednym rzutem strzały, — jak ostre iglice gotyku — ale wznoszą się powoli, jakby z namysłem, w poczuciu swojej wielkości. Ich ciała solidne, z czerwonej cegły zlepione, oparte na fundamentach z ciosanego kamienia, zabezpieczone herkulesowymi szkar-panami, budzą entuzjazm i szacunek.

A całość świątyni?

Oko z przyjemnością zatrzymuje się na monumentalnych członach budowli. Po wielokrotnym kalaniu świątyni przez różnych architektów, zachowała ona naogół charakter ro-

mański. To dużo, jeśli się weźmie pod uwagę okoliczności, wśród jakich znajdowały się stare polskie zabytki. Nie oszczędzały i Płocka najazdy, walki, pożary, Katedra ostała się po wielokrotnym wstawaniu z ruin, podnoszeniu się z upadków, gojeniu ran, zadawanych pożarami. Śnać ważna to była świątynia.

Tak — powiedzmy odrazu — jedna z ważniejszych w Polsce.

Już pierwsza jutrzienka chrześcijaństwa, która zakwitła na niebie duszy polskiej za Mieczysława I, powołała kościół w Płocku do życia. Bolesław Chrobry podniósł skromny dom Boży, kryty drewnianym pułapem, do godności katedry. Zwłoki książąt mazowieckich zaszczyliły jej podziemia. W 1102 roku złożono w katedrze szczątki władcy Polski — Władysława Hermana. Niestety w dwadzieścia cztery lata później stała się świątynia łupem Pomorzan.

Miejsce, poświęcone Bogu, niedługo stało pustką. W dziesięć lat po zniszczeniu zaczęły wyrastać nowe mury kościoła, — o wiele trwalsze i piękniejsze od poprzednich. Po długich pracach stanął kościół wspaniały, użyźniony prochami samego Bolesława Krzywoustego.

Burze dziejowe i czas niszczyły niejednokrotnie jeszcze świątynię. Ale ofiarność ludzka powoływała ją znowu do dalszego życia, do coraz większego i świetniejszego bytowania.

Na pierwotną romańszczyznę, surową i stateczną wsiadł ostry i wzniosły gotyk. W szesnastym wieku uświetnił oba style pyszną kopułą i kamiennymi kolumnami wytworny renesans. Wreszcie ostatnie dziesiątki lat odmłodziły chylącą się ku starczej śmierci katedrę, zastrzykując jej ponad milion cegieł, ogromne ilości wapna, piasku, cementu, farb — i mnóstwo ludzkiego trudu.

Kościół stał się staro-nowy. Olbrzymie kawały fundamentów, szkarp, a nawet ścian dorobiono do starego organizmu. Uczyniono to ze znanstwem i umiłowaniem cennego zabytku. Dzisiaj pyszni się romańsko-gotyckorenesansowa świątynia płocka niepospolitą urodą, przenosząc wizję katedry z XVI wieku w czasy dzisiejsze, dając świadectwo bogactwu pomysłów architektonicznych i rzeźbiarsko-malarskich w dziedzinie wyśpiewywania hołdu na cześć Boga. Katedra płocka ma bezsprzecznie prawo zasiadania w gronie największych, najpiękniejszych i najślawniejszych kościołów w Polsce.

Poważny, romański, kamienny portal wie-
dzie do wnętrza katedry. Tam otwiera się
świat odrębny, przepojony sztuką, dziwnie wi-
zyjny — grota na cześć Boga przez ludzki wy-

siłek wyczarowana. Światło przeciska się przez witraże w różnokolorowym rozpyleniu. Słupy, czworokątne olbrzymy, pną się raczej, niż dźwigają. Łuki arkad międzynawowych, oparte wdzięcznie na półkolumnach, wchodzą kamiennymi koronkami i złotem aż na szczyty. Okrągłe, zgrabne kolumny śpiewają kolorami ciemnozielonawymi i czerwonawymi pieśni ludowe.

Wnętrze katedry płockiej — to najbarwniejsza i najwspanialsza chyba sala Mazowska. Śmiać się tu chce, radować w tym rozkosznym przybytku barw, rozległych przestrzeni, śmiałych perspektyw, mocnych i pięknych kształtów.

Stańmy w środku łacińskiego krzyża, w miejscu przecięcia naw. Po obu bokach głębokie, tajemnicze ramiona nawy poprzecznej. Przed nami pyszne prezbiterium. Z tyłu otchłanna nawa główna. Nad głową rozpięta ośmiokątna kopuła, ukoronowana latarnią — przypomnienie sławnej kopuły kościoła św. Piotra w Rzymie, najwspanialszej kopuły świata, podniesionej do nieśmiertelności geniuszem Michała Anioła.

Nie chce się myśleć, że w tych malowidłach płockiej katedry, uniesionych na wysokości, brak oryginalności, że malarz jest tylko po-prawny. Architektura dała barwom świetność

polotu, kształtom majestat i lekkość, tendencjom — świętość.

Śliczny jest biały gołąb, unoszący się wśród złocistych promieni na ciemno szafirowym tle: rozkoszne są aniołki; urocza i wzniosła jest Matka Boża na marmurowym tronie; uroczyscie pociągający są apostołowie, siedzący parami na ławach; dostojni ewangelisci, rozlokowani w niszach; wspaniali czterej ojcowie kościoła. Widz zmienia się chętnie w dziecko. Wierzy w życie obrazów. Namalowani ludzie cieszą wymową prawdy. Symbole mówią wyraźnie i podnoszą. Wizja, bajka wyciąga ręce do serca i mówi: „ja jestem niebo”. — Tak przemawia kopuła.

A sklepienie nawy głównej? Pięknie ulata na wysokościach, wypięte wdzięcznie ponad masami ścian, wysmukłymi ramionami żeber, wsparte na prostokątnych filarach. Sklepienie lśni, błyska, raduje, przyciąga, zachwyca wielkością treści. Oto największe dzieło Boga chwali: wszechświat, pełen gwiazd, z kręgami zodiakalnymi, z mleczną drogą. Cudowna, miła nieskończoność, wyczarowana ilustracją dla dzieci.

Świętości, świetności i blasku dodają magiczne wyrazy, niby dusze, tworzące wszechświaty: „Święty! Święty!”

Niema nieba bez aniołów — jak ziemi bez

sztuki. To też aż dziewięć chórów anielskich uświetnia, umuzycznia, ubarwia niebo.

Ach, te rozkoszne anioły! Wszędzie ich tutaj pełno. Wychylają buzie po sklepieniach, ścianach, ołtarzach, po wszystkich nawach i w mnogich kaplicach. Anioły — uśmiechy, anioły — pieśni, anioły — serca tęcz, konkretyzacje słodkich tęsknot. Unoszą się główki w kędziorach, wśród fal włosów, niektóre wieńczą korony złocistych gwiazd. Są także przystrojone w pióra z pawich ogonów — to polskie anioły. Widać anioły w całej okazałości i do połowy obcięte i same główki. Adorują Chrystusa i Matkę Bożą i różnych świętych. Buzie mają ładne, łagodne — czasem surowe, nadęte, męskie. Kształty ciał przeważnie pojętne. Najwdzięczniejsze pieśniarki nieba ulokowały się w kaplicy Przenajświętszego Sakramentu. Śliczna jest tutaj procesja aniołów. Twarze ich ukradł artysta najurodziwszym mieszkankom Płocka. Dobrze pozowały: trochę świętobliwe, trochę kokieteryjne — zwyczajnie jak ładne kobiety tego świata. Obdarowane skrzydłami, weszły za życia w grono świętych. Przychodzą tutaj i modlą się same do swojej urody. Gdy oszpeci je starość, w kościele tym modlić się będą do swojej anielskiej młodości.

Zwróćmy kroki w nawy boczne. Zaplątajmy się zarazem w ich zatoki — w labirynt mno-

gich kaplic — świętych zaułków. Większe skupienie kładzie się tutaj na myślach, większe przyciszenie. Przestrzeń się streszcza, barwny półmrok tężeje. Bogactwo i tutaj rozsypano hojną ręką. Ściany pełne złota i soczystych barw kwiatów. Pełno lilij, róż, złocieni, tulipanów. Wdzięczą się gałązki winogron, kłosa pszenicy, stylizowane liście. Zmuszają do podniosłych rozmyślań stare, lecz zawsze piękne symbole snót Chrystusowych: pelikan, baranek, krzyż w koronie cierniowej. Dalej widać symbole pierwszych chrześcijan i — kto tam te obrazy zliczy!

Nie brak także godeł hierarchii kościelnej oraz podobizn rozmaitych świętych. Święci wypełnili również ciałami świetnie kolorowymi, mistycznie przezroczystymi, szyby w otworach okien, — dali tematy witrażom.

Czego w świątyni malarz nie ubarwił, to ożywił rzeźbiarz. Wszędy pełno otłarzy, skromnych nagrobków, — okazałych grobowców, wspaniałych pomników, marmurowych tablic, płaskorzeźb... Niejednokrotnie do dekoracyj dobrał się barok, szpecąc romańsko-gotyckorenesansową świątynię.

Zaprawdę bogate dary złożyły Bogu skromne piaski i laski mazowieckie.

Ale najwspanialsze jest prezbiterium.

Sanctuarium. Miejsce najświętsze kościoła. Tędy wejście do świątyni dla Pana Boga i

wszystkich świętych. Tutaj spełniają dostojnicy duchowni pośrednictwo między tłumem wiernych a Chrystusem. Tędy droga z ziemi do nieba.

Biała, marmurowa balustrada dzieli prezbiterium od reszty kościoła. Wszystko tu bogate i piękne. Dla księcia-biskupa wspaniały tron z rozpiętym baldachimem i stalla odpowiednio wytworna. Dla kanoników stalle pyszne, suto rzeźbione. Nawet ława dla celebransa, diakona i subdiakona, wyposażona w misterne rzeźby.

Całe zresztą prezbiterium jest pyszną salą przyjęć dla gości z nieba, a nade wszystko dla Najświętszej Panny Marii, której to miejsce poświęcono. Wszystko kąpie się w strojności i przepychu. Matka Boża króluje na głównym ołtarzu, sprowadzonym z Włoch. Jest wniebobrana. A wyżej, nad ołtarzem, przebywa już w niebiesiech wśród promieni, koronowana przez Chrystusa.

Wszystko sławi tutaj Matkę Boską. Światło słoneczne ma do niej dostęp jeno przez bardzo barwne witraże. Natłok kosztownych rzeźb ołtarza opiewa jej żywot. Ponad gzymsem dąży ku ołtarzowi parada świętych i patronów Polski. W powadze i skupieniu idą: ks. P. Skarga, bł. Izajasz Boner, królowa Jadwiga, św. Kinga, bł. Ładysław z Gielniowa, bł. Szymon z Lipnicy, bł. Jan Strzepa, św. Kazi-

mierz Jagiellończyk, św. Jan Kanty, bł. Wincenty Kadłubek, bł. Dąbrowka, św. Wojciech, św. St. Szczepanowski, św. Grzegorz, św. Salomea, św. Jolanta, św. St. Kostka św. A. Bobola, cała święta i błogosławiona Polska. W ich gronie św. Zygmunt, król burgundzki, patron Płocka. Trzyma w ręku model katedry płockiej. Wśród długiej procesji widzisz niesione podobizny czterech obrazów Matki Boskiej, które najszerzej zasłynęły w Polsce cudami.

To nie wszystko. Sześć doskonałych obrazów śpiewa na ścianach pieśń o ważności czynów M. Boskiej: Zaślubiny M. Panny, Narodzenie P. Jezusa, Ofiarowanie Dz. Jezusa w Świątyni, Pokłon mędrców, Praca w Nazarecie, Znalezienie Jezusa w świątyni. Najpiękniejsze to obrazy w katedrze. Wykwintny renesans włoski nie potrzebuje oburzać się na naśladownictwo. Drapiewski dobrze się spisał.

Nie pozostało dłużnym hołdu Matce Boskiej także sklepienie prezbiterium. Ono modli się obrazami i słowami litanii loretańskiej. Barwna, śliczna, bogata modlitwa. A u stóp, na mizernych dołach, ścielą się kwiaty polskie i drzewa i ozdoby ludowe, — przedstawiciele Polski. Mali, u podnóżka.

A chcesz zobaczyć dowody przepychu ceremonij w katedrze?

Niedaleko do skarbca. Ornaty, dalmatyki,

kapy, antepedia, alby, relikwiarze, kielichy, puszki, monstrancje, krzyże, pastorały... Kapie to wszystko od złota, srebra, drogich kamieni.

A są to tylko resztki wielkich bogactw katedry. Lwią ich część wyłowili ongi najeźdźcy.

Widzisz arcydzieła hafciarstwa, rytnictwa, szlifierstwa... W niejeden ornat czy inną tkaninę wszedł trud wielu lat. Niejeden mszał wyssał siły całego ludzkiego żywota. Szczególną uwagę przykuwa kielich ks. Konrada I z imionami jego dzieci, — cenna, bogata pamiątka. Wśród puszek ze srebra i złota wyróżnia się bezcenna herma św. Zygmunta, cała ze srebra, arcydzieło sztuki złotniczej, dar Kazimierza W. W hermie tkwi czaszka św. Zygmunta, ofiarowana 1166 r. dla Płocka przez cesarza Fryderyka. Na niej korona królewska, — jedna z koron piastowskich, podobno starsza od hermy. W koronie perły, rubiny, szafiry.

Szczodrze obdarzono w katedrze nawet kości świętych. O dobrobycie własnego ludu, żyjącego w nędzy, mniej myślano. Taki to już był dziwny ten naród i ten kościół na Mazowszu.

Jest cichy zakątek w katedrze, schowany na uboczu, na lewo od głównego wejścia. Najważniejszy dla czciciela polskich pamiątek.

Kaplica królewska. Oddano prochom królewskim hołd należny, kapnięto także na uczczenie miejsca spoczynku pradawnych, a dobrych władców polskich.

Kości Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego, znalezione w masywnej, podwójnej, drewnianej trumnie pod ziemią u wejścia do prezbiterium, przeniesiono do królewskiej kaplicy w 1825 roku. Nad królewskimi szczątkami postawiono sarkofag z czarnego marmuru. Cztery orły z białego metalu podtrzymują ciężkie wieko. Na nim symbole władzy: korona, miecz, berło. Przy ostatnim odnawianiu kościoła wystrojono ściany kaplicy bogato w barwy, rzeźby, myśli. Między pilastrami pola purpurowe. Na nich postacie czterech cnót, zdobiących czterech władców: Sprawiedliwość, Mądrość, Wstrzemięźliwość, Męstwo. Te cnoty są iście po królewsku wyposażone w pyszne szaty i pyszne trony. Pod oknem Wł. Herman i Krzywousty, dalej Wiara, Nadzieja i Miłość. Są w kaplicy Pokój i Zwycięstwo, Polska ludowa i szlachecka. Wyżej: medaliony M. Boskiej Częstochowskiej i Ostrobramskiej, herby dzielnic Polski z czasów Krzywoustego, a u góry na sklepieniu wielki orzeł biały, rozpięty na amarantowym sztandarze. Do skrzydeł przylegają herby Litwy i Rusi.

U wejścia do kaplicy sterczą niby relikwie

pierwotnej katedry — resztki cokołu prastarych murów.

Kaplica królewska, utrzymana w tonie poważnym, stanowi o czci i powadze katedry płockiej i całego Płocka. Ona podnosi nieduże dzisiaj miasto do godności jednej z historycznych stolic państwa. Ona przenosi nasze myśli i uczucia z nieodpartą siłą na wiele wieków wstecz, w zaczątki niemal dziejów polskich.

Płock, stolica książąt mazowieckich, wyrósł na pierwsze miasto Polski, gdy obrał go na rezydencję Władysław Herman. Stał się wtedy ogniskiem, z którego szły wielkie wyprawy krzyżowe chrześcijańskich Polaków przeciw Pomorzanom, Prusakom, Jadźwingom, Litwinom. Znaczenie Płocka ugruntował Bolesław Krzywousty, który czynił stąd wyprawy na Pomorze, nawracając je i przyłączając do Polski.

Za obu wymienionych władców nie tylko ognisko władzy politycznej skupiało się w Płocku. Tutaj rozgorzało ognisko święte i piękne: ognisko wielkiej kultury i sztuki. Na polecenie Wł. Hermana i Krzywoustego powstają w Płocku dzieła architektury, rzeźby, hafciarstwa. Artyści swoi i obcy wypełniają

skarbiec książęcy kunsztownymi wyrobami ze srebra, złota, kości słoniowej. Płodna myśl twórcza roznosi stąd zapach daleko po ziemiach polskich. Pod wpływem architektury plockiej katedry powstają wspaniałe kościoły w Czerwińsku i Łęczycy.

Takim pozostał Płock przez parę wieków. Za Kazimierza W. przybrała stolica Mazowska na obronności. Zamek książęcy zamienił drzewo na kamień i cegłę. Płock rozwijał się coraz wspanialej. Dopiero wcielenie ziemi Mazowieckiej do Korony w 1526 r. położyło kres świetności stolicy książąt mazowieckich. Odtąd po dzień dzisiejszy Płock jest tylko jednym z miast prowincjonalnych Polski.

Nie tylko kaplica królewska podstawia myślom wizje odległych, wielkich czasów Płocka. Wystarczy rozejrzeć się dokoła katedry. Wieża Zegarowa, wieża Szlachecka... Tajemnicze zjawy ceglane jak widma, zabłąkane wśród wesołych, nowoczesnych skwerów. Świadki zaginionego zamku książęcego, który panował na górze Tumskiej pałacami, murami, wieżami, basztami, zwodzonymi mostami.

Zniknęły mury grube i wysokie, z potęż-

nych gładów i cegły wzniesione, nastroszone wieżami i strzelnicami, podryte krytymi chodnikami. Zniknęły dumne piersi fortecy, co kryły się za rowami, napełnionymi wodą, a ze światem łączyły się bramami i zwodzonymi mostami, wysuwanymi niby języki z paszczy fortecy. Zniknęły domy mieszkalne książąt, dworu, rycerstwa i wielu osób prywatnych, które szukały spokojnego snu w objęciach murów zamkowych w czasie najazdów nieprzyjacielskich. Śladu nie pozostało po dumnym zamku książęcym, w którym mieszkała jeszcze królowa Bona, ani po całej osadzie, która tuliła się do zamku, rozbudowana na sąsiedniej górze.

Błądzą wśród klombów, trawników, drzew bujnych, roślących, tryskających życiem zieleni. Niezliczone tłumy smukłych traw i kwiatów uśmiechają się ku słońcu. Grupy mieszkańców snują się po jasnych drogach, obsiadają ławki, stają przy poręczy, chroniącej ludzi od usypiska wysokiego brzegu.

Życie kipi, uśmiecha się na miejscu, gdzie była część zabudowań zamkowych, murów, baszt...

A gdzie reszta zamku?

Stań nad przepaścią brzegu i patrz w dół ku Wiśle. Tam cmentarz wielu starych budowli. Tam, pod zwałami piachu i mułu leży rozkruszone baszty, mury, mosty zwodzone...

Tam spoczywa całe wzgórze, na którym rozlokowana była pierwotna osada płocka. Wiśła stała się pięknym cmentarzyskiem dumnej siedziby władców Mazowsza.

Dziwnie egzotycznie wyglądają wśród kipiącego życia dwie baszty, świadkowie minionej wspaniałości, ostatni potomkowie kamiennej arystokracji Płocka. Sponiewierał je czas, ale do dzisiaj zachwycają potęgą i oryginalnością budowy. Budzą uczucia podziwu i smutku. Dzwonica katedralna, dawna wieża Zegarowa zachowała dół romański z dwunastego albo trzynastego wieku. Na tym fragmencie baszty nasadzono w piętnastym wieku gotycką wieżę, urozmaiconą czterema wieżyczkami. Osiemnasty wiek położył się na szczycie barokiem. Dzwony katedralne i piękny zegar dźwięga wieża od końca piętnastego wieku. Dopiero wojna światowa zdarła część dzwonów, a część ich cudem uratował spryt dzieci.

Przechodzę na stronę południowo-zachodnią placu. Przede mną wieża Szlachecka. Masywna budowla, u podstawy czworoboczna, wyżej ośmiokątna, u góry zakończona piramidalnym dachem. I ona nie dotrwała w dawnej wspaniałości. Z końcem osiemnastego wieku ucięto ją do połowy.

Ważną, choć niezbyt przyjemną pełniła ta wieża funkcję: służyła jako brama wjazdowa do zamku i — więzienie. Straszy dziś wspom-

nieniami ciężkimi, ponurymi. Dolna część lochu wilgotna, chłodna i ciemna, przeznaczona była dla groźnych, niebezpiecznych zbrodniarzy. W części górnej, bardziej schludnej i jaśniejszej zamykano winowajców mniej obciążonych, a przede wszystkim członków rodzin szlacheckich.

Jak każde więzienie dawnych czasów, miała wieża Szlachecka swoich smutnej pamięci bohaterów. Najślawniejszym z nich był wojewoda płocki Krystyn, opiekun Konrada I. Światły, prawego charakteru i znakomity wojownik, zwycięzca w wielu bojach z Litwinami i Prusakami, wywołał Krystyn zazdrość w sercu kanclerza Czapli. Oskarżony przezeń przed księciem o chęć opanowania władzy książęcej, został nieszczęsny wojewoda na rozkaz swego książęcego wychowanka schwytany, oślepiony i wtrącony do wieży, a następnie poddany torturom i zamordowany. Krew niewinnej ofiary wywołała pomstę nieba. Niedługo potem kanclerz Czapla, podejrzany przez Konrada o spiski, zamieszkał wewnątrz posępnej wieży, a następnie zawisł na stryczku.

Nie tylko część zamku pochłonęła Wisła. W różnych czasach na różnych odcinkach frontu „Wisła-Płock” wyrывała królowa rzek polskich coraz to nowe ofiary. Gdzie dzisiaj naprzykład stoi teatr miejski, wznosił się od

trzynastego wieku kościół świętej Trójcy. Boki góry, wygrzane przez wody, zapadały się coraz bardziej, stromy brzeg przybliżał się do kościoła, aż nareszcie zagroził pochłonięciem jego murów. Prusacy musieli zmniejszyć rozmiary budowli. Zostawili gmach niski i przeznaczyli go na magazyny wojskowe. Ks. Warszawskie przerobiło magazyny na teatr.

Niedaleko od zamku, obok kościoła farnego biegła ul. Nadwiślańska. Dziś uśmiecha się w tym miejscu złośliwie poszczerbiony brzeg. Dawna ulica spoczywa na dnie Wisły, zapadłszy się w nią wraz z cennymi śpichrzami z czasów Kazimierza Wielkiego.

Takie to dzieje czyta się na pięknym, wysokim brzegu Wisły, skąd nęci oczy rozległy widok na brzeg jej przeciwległy. Tam to wychylają się ze szmaragdu traw barwne, czerwono-szaro-białe miniaturki ludzkich osiedli: Popłacina, Brwilna, Soczewki, Leonowa, Duniowa. Ponad niskie, przyziemne budynki mieszkalne, objęte ciemno-zielonymi pierścieniami drzew liściastych, wspinają się w górę długie, ceglasto-czerwone szyje kominów papierni, cukrowni, cegielni, — to znów konkurujące z nimi wysokością wieże kościelne. Daleko, daleko na nieboskłonie ciemni się szeroki garb

drugiego brzegu Prawisły, podwyższając nieznacznie linię horyzontu.

W dole, u stóp przepaścistego brzegu podrygują na zwierciadle wodnym łodzie jak maleńkie czółenka na nici z maszyn do szycia. Obok kołyszają się poważnie czarne kadłuby berlinek niby olbrzymie chrabąszcze, pływające nawznak. W przystani „Vistula” czatują na pasażerów dwa ładnie polakierowane pudełka osobowych parowców.

Mało statków, mało turystów. Piękny Płock jest dotąd zapoznany.

Zal opuścić Płock. Nie darmo zachwycił takich malarzy, jak A. Gieryski, W. Gerson, W. Zaboklicki.

Trzeci dzień mija, Wisła woła: „dalej na północ!” — a ja rozkoszuję się Płockiem, jak interesującą historyczną lekturą.

Miłe, prowincjonalne miasteczko. Mieszkańcy nie przeszkadzają poważnym nastrojom. Inne mają oblicza, niż ci, w Warszawie. Są cisi, spokojni, pogodni — i trochę zadumani. Nie strzępi im nerwów wielki przemysł ani zgiełkliwy handel. Parę fabryk narzędzi rolniczych, krochmalu i mydła, browar i młyny parowe — to za mało, by wybić piętno współczesności na życiu Płocka.

Takie sobie miasto urzędniczo-szkolne. Ci-

che teraźniejszością, a w głębi rozhukane przeszłością.

Szukam szczątków wielkich czasów, szukam ruin, zwalisk po ulicach i placach.

Stary rynek. Sielanka. W środku skwer. Cisza, spokój, rozleniwienie. Na boku drzemie ratusz renesansowy.

Miło usiąść wśród kwiatów i zamyślić się nad przeszłością tego małego skrawka miasta. Tutaj był ośrodek życia Płocka przed kilkuset laty. Tutaj stały pałace rycerstwa ks. mazowieckich. Tutaj miały miejsce najkrwawsze walki z napastnikami.

A potem stał się ten plac ośrodkiem życia handlowego i towarzyskiego Płocka. Najznakomitsze domy i najbogatsze sklepy otaczały ruchliwy czworobok. Niedawno odebrał znaczenie temu zakątkowi Nowy Rynek. Ten turystę mniej interesuje. Może kiedyś, za sto, dwieście lat...

Na ścianach ratusza ślady kul. Ślady bohaterskiej obrony miasta przed inwazją bolszewicką. Zaszczytne rany. Świadczą, że żyje dotąd w sercach mieszkańców stolicy Mazowsza tradycja sławnej przeszłości. Za zniszczone mury obronne starczą ich karabiny. Mocne charaktery zastąpią dumy książęce. Zaszczytne tytuły „Kawalera krzyża walecznych”, nadany miastu przez Piłsudskiego, wart nie mniej od nazwy „stolicy książęcej”.

Błądząc po nowoczesnych ulicach Płocka, często wyławia się różne stare fragmenty. Bo też te ulice panoszą się na starych fosach, otaczających od czasów Kazimierzowych mury i wespół z nimi broniących dostępu do miasta. Nowe domy pobrały cegły i kamienie ze starych fortyfikacyj, które tylko tu i ówdzie ostały się wśród więzów nowoczesności, smutne i bezbronne.

Dziwnych wzruszeń dostarcza przechadzka w poszukiwaniu kościołów i klasztorów, — których już nie ma.

Oto kościół św. Wojciecha i klasztor Benedyktynów. Pradawny kościół zamkowy, dostawca kapelanów dla książąt mazowieckich. Z końcem osiemnastego wieku stracił podstawy egzystencji. Przestał istnieć wraz z klasztorem. Stare ich mury ożywiły szczebioty uczennic. Do 1914 roku trwała okupacja gmachów przez gimnazjum żeńskie. Dzisiaj zajmują je mieszkania prywatne.

Kanonia św. Piotra. Dokumenty mówią, że stała przy katedrze. I tylko te dokumenty zostały jako ślad jej istnienia.

Klasztor i kościół Dominikanów pod wezwaniem św. Trójcy. Mówiłem już o nim, że, odpowiednio przeistoczony, oddał się na usługi teatru. Teren prastarego kościoła rozwesela dzisiaj widzów.

Kościół św. Michała. Kipi życiem jako część męskiego gimnazjum. A była to ongi kolegiata jedna z najstarszych w Polsce, następnie rezydencja jezuitów, a wreszcie szkoła Komisji Edukacji Narodowej. Jeszcze sroższy los spotkał kilka innych kościołów i klasztorów.

Klasztor norbertanek poszedł na służbę żołnierską, zamieniony na koszary.

W klasztorze braci zakonu kaznodziejskiego panuje zbór protestancki.

Z kościoła św. Idziego zostało jeno wspomnienie.

Wspomnienie... Nie najgorszy los dla umarłej świątyni. O ileż gorzej potraktowano kościoły św. Katarzyny i św. Ducha. Oba domy Boże puścili słudzy boży na handel. Kościoły przeszły w ręce handlarzy, którzy zamienili je na domy czynszowe. Kościół św. Ducha kupił z rąk kanoników kolegiaty pewien rzeźnik. Tenże sprzedał potem świątynię katolicką Żydowi.

Dziwna kamienica z bardzo stromym dachem, ściętym nagle u góry, — resztką dawnej wieży — rzuca przechodniom natarczywe pytanie: „Sąż świętości, którychbyście nie sprzedali?”

Tak to czas pochłonał siedem kościołów i wszystkie klasztory płockie.

Płock ma zrozumienie dla cennych pamiątek. Niemałą rozkosz i duży pożytek przynosi przechadzka po tutejszych zbiorach muzealnych. Takich muzeów, jak diecezjalne, czy muzeum im. Prez. Mościckiego, nie powstydziłoby się największe miasta Polski. Turysta znajdzie w nich arcydzieła malarstwa od szesnastego wieku szkół: włoskiej, flamandzkiej, holenderskiej, niemieckiej, francuskiej. Dużą atrakcję stanowią obrazy mistrzów polskich: Czechowicza, Wojniakowskiego, J. Cz. Moniuszki i wielu innych. Arcydzieła rzeźby sięgają początku piętnastego i szesnastego wieku. A ile wiadomości zbierze każdy o Płocku i okolicy, przejrzawszy zbiory archeologiczne i historyczne! Szczególnie dużą wartość mają rękopisy z dwunastego, trzynastego i szesnastego wieku.

Nad brzegiem Wisły, w miejscu, gdzie stała kaplica Filipa i Jakuba, wyrósł jakiś nowy klasztor, zakwitł jakiś nowy kościół. Młody, świeży, bogaty. Dokoła niego mnogie gmachy szpitalne, szkoły, warsztaty rękodzielnicze, ochronki... Całe miasteczko, stworzone przez kościół.

Kościół ten — to siedziba sekty mariawickiej, tragedia religijna Płocka.

Ośrodek wyklętej sekty w starej stolicy ultra-katolickiego Mazowsza u boku dumnej, sławnej katedry katolickiej? — to brzmi dość ultra-katolickiego Mazowsza, u boku dumnej, przybysza ta wyspa egzotyczna i jedyna bodaj wśród morza dziejów Polski.

Ładna jest ona i miła, lekka i misterna. Wdzięczy się uderzającą białością całości, strzelistością wieżyczek, koronkowością, rozmodleniem ostrołuków, arkad, złocistą mistyką monstrancji, królującej na szczycie, dostojną lekkością kopuły.

W oknach klasztornych czyściutkie firanki, we wnętrzach izb schludne, czyste meble, wszędzie łagodny uśmiech i cichość.

Po czystych podwórzach klasztorów przesuwają się czysto ubrane zakonnice i schludni zakonnicy. Czyste są szaro-popielate habity, czyste i lekkie sandały. Przyjemnie, pociągająco, higienicznie.

Wstępuję do kościoła. Nabożeństwo. Kobieta w stroju kapłańskim, bogato obszytym w koronki, odprawia mszę świętą. Asystuje jej sześciu księży. Stoją w ławkach po obu stronach ołtarza. Słowa mszy mówione po polsku. Rozglądam się dokoła. Kościół wypełniony ludźmi po brzegi. Starsi zgrupowali się z tyłu, bliżej ołtarza gromada młodzieży i dzieci. Modlą się w skupieniu. Nie dostrzegam gapienia się po ścianach. Nie przyciągają one wzroku, nie

absorbują myśli. Są śnieżno-białe. Białym jest sklepienie, nie ubarwione są okna. Całe wnętrze jest białe i — niemal nie umeblowane.

Nie wpuszczono do świątyni podobizn świętych, ani żadnych innych dekoracyj. Ukrzyżowany Chrystus, umieszczony w prezbiterium, skupia na sobie całą uwagę. Jedyne Chrystus nad złocistą monstrancją.

Wśród białości rozlegają się srebrne dźwięki mandolin.

W pewnej chwili gromada ludzi odrywa się od ławek i przyklęka. Ksiądz-kobieta udziela pragnącym komunii świętej w postaci opłatków, maczanych w winie.

Wdzięczny obrazek. Sielanka religijna. Na tle ponurych nastrojów kościołów starych i poważnych, rozkoszna wiosna w szatach białych, ślicznych, a niewyszukanych. Wydaje się, że Chrystus przybył do tego domu uśmiechnięty, odmłodzony i rzuca białe lilie dobroci między łaknących. Taki Chrystus z Pisma Świętego, prosty i zrozumiały.

Wychodzę z kościoła. Uśmiechnięty, cichy zakonnik oprowadza mnie po budynkach klasztornych i mariawickich zakładach dobroczynnych. Poważna, solidna praca. Wszystko tchnie świeżym, młodzieńczym zapachem. Księża są bez majątku, bez kastowej ważności. Pogarda, jaka ich wśród morza katolicyzmu ota-

cza, zmusza do poczucia ceny ofiary, do stania twardo na straży swego kościoła.

„Kozłowici! Mankietnicy! Parszywe owce!”

Lekceważenie i nienawiść znajdują duże uzasadnienie. Bo mariawityzm, jak szybko rozwinął się, tak szybko się upodlił.

Właściwie mariawityzm nic nowego nie stworzył. Reguła jego zakonu: naśladowanie czynem życia apostołów i pierwszych chrześcijan, gotowość do poświęcenia życia dla nauki chrystusowej, powszechna miłość między ludźmi w uczynkach — to stare, oklepane ideały religii chrześcijańskiej.

A bunt przeciw złu, rozpanoszonemu wśród duchowieństwa?

I to za mało dla tworzenia nowych zasad wiary. Jeśli mimo braku głębszych podstaw mariawityzm zyskał dość duże powodzenie, to skutek głodu mocniejszych wzruszeń religijnych.

Starczyło, że mateczka Kozłowska ogłosiła widzenie, — a podnieciła, odurzyła, pociągnęła tłumy za sobą.

W obecnej chwili mariawityzm nie jest już groźny dla katolicyzmu. W krótkim czasie okazało się, jak niefortunną jest rzeczą

wskrzeszać nie swoje uczucia i to w nieodpowiednim okresie dziejowym. Płomienna miłość do wszechistnienia świętego Franciszka z Assyżu, mistrza Kozłowskiej, wyrosła jak cudowny kwiat jego serca w ogrodzie najmystyczniejszego okresu średniowiecza w trzynastym wieku. Wtedy ludność Italii potrafiła upijać się do nieprzytomności miłością ku Bogu i ku wszelkiemu dziełu boskiemu. Mistyczne uczucia były bardziej realne od samego realnego życia. Całą wyższą kulturę opętały wizje rzeczy nadprzyrodzonych. Miłość, wyrosła z wielkiego serca na takiej glebie, była jak kwiat gorejący, który wiąże płomienie wpatrzonych weń dusz w jedno wielkie, powszechne uczucie.

Przeniesienie tak ekstatycznych uniesień z średniowiecza na tło dzisiejszej rzeczywistości rozpętanej ruchem, ciągnącej ku sobie złowrogim czarem błyskawicznego postępu, — rzeczywistości rozkielzanej, nieskupionej, barwnej a nizinnej, było chęcią poślubienia przez anioła, zawieszzonego w obłokach, roześmianego odbłaskiem wiekuistego szczęścia, — maszyny ciężkiej, zmiennej i tępej, rządzącej się w czynach ścisłym rachunkiem rozumu.

Nie dziw, że zaraz po śmierci mateczki Kozłowskiej, twórczyni mariawityzmu, zaczęły działać się w łonie duchownych jej kościoła rzeczy niepokojące. Wśród przepychu piękna

trudno było utrzymać granicę między wzniosłością duszy, a ponętą żądz zmysłowych. Czar estetyki architektonicznej, wdzięków kobiecych, muzyki, pomieszany z tchnieniem wiecznego Boga, rozpętał różne pożądania.

Zakonnicy mariawiccy, by ustroić żądze cielesne we wzniosłość, wymyślili małżeństwa „mistyczne”. Dzieci, zrodzone z rozkoszy zmysłowej, połączonej z ekstazą religijną, miały nie ulegać ciężarowi grzechu pierworodnego.

Zmysłowe podniety wplątano w obrzędy religijne. Małoletnie dziewczęta stawały się ofiarą niezdrowych praktyk. Sąd musiał wmieszać się w sprawy i skazać przełożonego kościoła na parę lat więzienia. Piękna idea została wypaczona, zbrudzona. Jedynie działalność społeczna mariawityzmu nadaje mu jeszcze sens bytowania.

V.

Pieśń wesela i mocy. Używam wywczasów na wiślanej wyspie. Piasek, drzewa, krzewy, trawy, kwiaty... Nie nawiedzają mnie widma historii. Ani rozgardiasz współczesnego życia. Patrzę — i raduję się.

Na kryształach powietrza zeglują barwne motyle. Z drzew i krzewów jak z ptaszęcych stacyj radiowych płyną solowe głosy i śpiewy ca-

łych chórów niewidzialnych istot skrzydlatych. Karmię ognisko zeszlými okruchami drzew, a ono daje mi zjawę pysznych, gorących barw i rzuca ku niebu smugę szaro-błękitnego dymu.

Otoczony przepychem przyrody, czuję potrzebę oddania się jej całkowicie, bez zastrzeżeń. Zrzucam strój kąpielowy, tonę w rozkoszy pogańskiej. Ciało muska mi słońce, — świetlista głowa, rozrzucająca promienne loki, kwiaty kipiącego miłością mózgu, — niosąca dzień w wieczność. Tonę w powodzi uczuć. W ucztowaniu z krajobrazem karmią się zmysły tysiącem dań, przyrządzonych z kształtów, barw i muzyki, a serce upija się treścią miłą, — czuje przyrodę, nią żyje, brata niebo i ziemię z jemu tylko widocznym, nieskończonym Wszechstworcą.

A myśli? — Wiązą, cokolwiek zmysły i serce jako zjawę podają, w nowy świat ludzkiej rzeczywistości, — świat bujny, interesujący, wołający o twórczość.

Tylko wola śpi. Poddaje się chętnie pieśczocie współzycia duszy z objawionym bogactwem Boga.

Pyszna, twórcza zabawa. Kto nie zna jej, życie uważa za mękę, za ciężkie posłannictwo, za ofiarę bolesną, szarą wegetację.

Hej! Uczcie się ucztować z przyrodą! Nauczcie się wychylać boski trunek z nachylonej

ku wam otchłannej czary nieba. Nauczcie się upijać do nieprzytomności nektarem błękitu, musującym ciepłymi, srebrzystymi promieniami lub zabielanym gętą pianą chmur. Nauczcie się także patrzeć na cudy bliskie, pospolite napozór: jak bezpłodne piaski puszczaą ku niebu twarde strzały traw; jak posępne błoto stara się wystroić w kępy pierzastych łozin; jak w świecie czaru przyrody wszystko czuje potrzebę tworzenia piękna, — jak nawet brzydota woła o urodę, — jak nawet martwota prosi o życie.

Nie gasi piękna czerń nocy. Gdy ucztą słoneczna zanika i przez dno przezroczyste puste go kielicha przebłyskują złote klejnoty skarbcza Kosmosu — nauczcie się ciskać za natchnieniem wzroku dusze wasze w gwiazdne przestrzenie. Nie trwóźcie się. Duchy lotniejsze są od światła, a myśl nie uleci dalej, niż jej wielkość waszych wnętrz pozwoli.

Głód dokucza. Głód nieprzyjemny, pospolity — z główną siedzibą w żołądku. Łatwo go zaspokoić.

Przygotowuję posiłek. Rozkoszna czynność. Niema kuchennych wyziewów, natrętnego gorąca pieca, dusznego, nasyconego wilgocią powietrza.

Niema uzbrojonej złością kucharki ani tra-

gicznej postaci pani domu z wypiekami na twarzy.

Jest wesołe ognisko — roześmiane dziecię słońca. Są aluminiowe menażki, wdzięcznie błyszczące w objęciach żaru. Woda pryska radośnie, prosi o zasypanie grysikiem, o dodanie kostki zupy. Ziemniaki miękną w uściskach gorąca, mizdrząc się do nosa pociągającym zapachem. Najmocniej nęci chleb. Chleb, który podnosi urok mazowieckich równin do boskiej karmicielki ludu. Chleb — dar pól, pełnych zboża, najdoskonalszego dzieła twórczego polskiego wieśniaka.

Jaką rozkoszą jest zaspokajanie głodu na wycieczce! Pochłaniając dary natury, zjadam po prostu część przyrody. Przez ten obrzęd łączę się realniej, mocniej, intymniej z wszystkim, co mnie otacza.

Doświadcza tego każdy chyba turysta.

Zmysł smaku to też mistrz i esteta, wrażliwy na piękno, jak inne zmysły. I jest nie mniej wybredny. Żąda odpowiedniego tła. Podając ciału pokarm, — drogocenny materiał do życia, — pragnie doznawać złudzenia, że zarazem pochłania wszystko, co oko dostrzeże i co ucho przyjmuje.

Ręce mam osmolone. W mieście powiedziano by: „cham z lasu”. A ja patrzę na rzekę i na niebo i wszędzie dokoła bez odczuwania wstydu. Przeciwnie. Czuję głęboką radość i świetne

piękno ukulturalnionego, pierwotnego człowieka. Z prawdziwym współczuciem myślę o przyzwoicie ubranych ludziach, siedzących przy stołach wśród ścian, gdzie jedzenie przybiera często charakter smutnej konieczności, lub ordynarnieje w lubieżne żarcie.

Nie nudzę się na odludnym ostrowie, choć siedzę tu już drugi dzień.

W tej chwili wyobrażam sobie na przykład, że znajduję się na egzotycznej wyspie, oblanej ogromną rzeką, potężniejszą od Amazonki.

Czy trudno wywołać w myślach taką wizję — tutaj?

Krajobraz narzuca plastycznie i z wielką mocą obrazy przeszłości — jak pracowicie, dokładnie przygotowane muzeum geologiczne. Wystarczy spojrzeć na wysoki i stromy brzeg Wisły, wspinający się z jednej strony i na niski, nie trudny do zatopienia brzeg przeciwny, aby ujrzeć ją — żywioł wspaniałą, który przeorał się przez ziemie polskie, — ją, pierwszą wybawicielkę tych ziem od północnego najazdu — Prawisłę.

Prawisłę — twórczynię wysokich brzegów nadwiślańskich. Rzeźbiarkę wspaniałej doliny, po której płynie.

Prawisłę, która ciężką pracą odkryła na brze-

gach smugi pokładów, pomalowanych ongi przez morza i jeziora.

Która rozsypała potem wielkie masy piachu, dając wiatrom materiał do wypiętrzania wydm.

Która dała następnie życie licznym łąkom przybrzeżnym, zasilając je żyznym mułem.

Urodziła się Prawiśła wśród walk z lodowcem. Cudowne były te gigantyczne boje. Kilka dziesiątków tysięcy lat temu. Na miejscu, gdzie tonę w żarze upalnego lata, srożyły się podbiegunowe mrozy i śnieżyce. Z północy szedł atak gigantycznego lodowca, nieubłaganego zwiastuna białej śmierci. Przepyszne, białobłękitne cielsko, uzbrojone w głązy, żwiry i piachy, parło na południe, miażdżąc ziemię, krusząc skały.

Olbrzymia większość ziem polskich legła martwa pod ciężarem kilkusetmetrowej grubości lodowego olbrzyma.

Po długiej, niemiłosiernej okupacji, po kilkakrotnych walkach wyzwoleńczych i po kilkakrotnej ponownej inwazji przyszło ostateczne zwycięstwo słońca. Nieubłaganie atakowany przez gorące tchnienia, cofał się lodowiec na północ. Z piersi jego, nastawionych na śmiercionośne strzały promieni, ściekały masy bezbarwnej krwi. Ciepłe te wody ścigały północnego najeźdźcę krok w krok, wypijały jego ciało, tuczyły się jego śmiercią.

Zwały głazów, żwirów, glin i piachu, rzuca-
ne przez wypieranego wroga, nie były w sta-
nie zatrzymać prących nurtów. Wody łączyły
się z sobą bratersko, jednoczyły w jedną roz-
szalałą, ofensywną rzekę. Urodziła się Prawi-
sła, potężniejsza od najpotężniejszych dzisiaj
rzek świata. Ona to cudownie powiązała rze-
ki, uciekające w różne strony, w jedną mądrą
całość. Ona wytknęła kierunek i nadała sens
życiu ludności, która się potem nad nią osiedli-
ła. Ona — pierwsza wybawicielka ziem na-
szych od cudzoziemskiej inwazji, — wniosła
na drżące równiny niżu polskiego tchnie-
nie potęgi wiecznie czujnej i wiecznie do ob-
ronnej walki gotowej.

Prawisła — pierwsza księga ideałów Pol-
ski...

Patrzę w górę... Wysoko, bardzo wysoko bły-
szczą na błękicie srebrzyste smugi pierzastych
chmur. Ciała ich, zbudowane z lodowych igie-
łek, czyhają jak cudne, drapieżne ptaki, na
porę, kiedy będą mogły zaatakować ziemię.

Zapewne przyjdzie taki czas... Ale teraz jest
lato, zwycięstwo życia i gorącej radości.

Tonę w upale.

Po kilku wyprawach po Polsce otworzyły
mi się oczy na ważność najpiękniejszej bodaj

nauki: na czytanie Polski, na wnikanie w życie ojczystej przyrody w celu poznania polskiej teraźniejszości, przeszłości, i wyczuwania jej przyszłości.

Krajoznawstwo łączy w sposób niezwykle pociągający surową naukę z zachwycającą sztuką. Bada duszą i ciałem, wysiłkiem myśli, serca i mięśni.

Kto chce Polskę ukochać miłością trwałą, niezmienną, — niech odbędzie corocznie serdeczną pielgrzymkę po jej ziemiach. W zdrowym ruchu, w rozkosznym trudzie nauczy się kochać ojczyznę prawdziwą, ojczyznę milio-nów, ojczyznę — wielkość, ojczyznę — wieczność. Nie pomiesza Polski z jej przeróżnymi drobnymi sprawami.

Obmyje duszę ze zwątpień, które gotuje jej nieraz polityka, ciągle zmienna, zależna od chwili, ludzi, nastrojów .

Polityka — to chwilowa służąca państwa.

Zapomni o troskach, o kryzysie, niesprawiedliwościach społecznych, o tarciach narodowościowych, o religijnych absurdach, o bogaczach i nędzarzach, o więzieniach i nocnych lokalach zabawy.

Zrozumie, że to tylko fragment życia kraju, fragment, który przechodzi i mija. Oczyszczi serce ze wstrętu, jaki wywołują przetargi na wyrozumowane ideologie — popioły, mówiące o ogniu.

Zapalony zniczem Polski prawdziwej, pozna, że Polska na szpaltach dzienników, Polska na wiecach, w barach i kawiarniach — to nie Polska, to karykatury Polski, malowane mniej lub więcej udatnie.

Polska, ta „wielka rzecz” ma ciało z setek tysięcy kilometrów kwadratowych, ma duszę z dziesiątek milionów ludzi. Ciało i dusza państwa żyją z sobą nierozdzielnie jak ciało i dusza człowieka. Niepodobna kochać ojczyznę miłością wielką i rzeczywistą, nie znając jej dzisiejszej, jej całej takiej, jaką jest w terenie.

Ogromna większość społeczeństwa oddycha tylko miłością tradycji, miłością mgławicową, platoniczną. Historia jest dla wielu pobudką patriotyzmu. Smutna i uszczuplona to miłość, która szuka podniety w przeszłości. Innych uczy miłowania ojczyzny poznanie drobnego ułamka własnej ziemi. Ciasna to miłość, może nie starczyć na potrzeby dzisiejszych, poszerzonych dusz.

Miłować zdolen jest Polskę pełnym sercem tylko ten, kto poznał ją w całości. Kto żył się z nią, jak dziecko z matką — i jak kochanek z kochanką.

Hej, nadajcie rumieńca krwi waszej miłości ku ojczyźnie! Poznawajcie tę, za którą — chcecie czy nie chcecie — musicie w potrzebie oddać mienie i życie. Poznawajcie osobiście tę,

dla której ginąć powinno być naprawdę rozkoszą.

Krajoznawstwo ożywi i opromieni radością patriotyzm. Ono zdolne jest natchnąć serce nie blagowanym uczuciem. Ono zmywa granice między członkami wspólnej polskiej rodziny. Ono podnosi godność Polski do pojęcia: — „wspólna krew, wspólna dusza, wspólny kraj”.

Krajoznawstwo — pole ekspansji dla duszy i ciała.

VI.

Myliłby się turysta, któryby sądził, że z pośród dzieł ludzkich Mazowsza jedynie miasta z klejnotami kościołów godne są poznania.

Wstępujcie do cichych wiosek, ubogich miasteczek i zagubionych osad. Niechaj was nie przeraża ubóstwo chat, posępniejące często w przygniatającą nędzę. Nie dajcie się wstrzymać w pochodzie przez długie wstęgi bagnisk, nasypów i dołów, zwane zachęcająco „drogami”. Nie zatykajcie delikatnych nosów przed atakami gryzących sino-popielatych dymów w kurnych chatach. Nie wpadajcie w gniew czy wstręt, gdy w gościnnej izbie chłopskiej zażądają od was haraczu krwi — wszy, pchły i pluskwy.

Tysiąc niewygód i przykrości pokonywujcie

z uśmiechem pogody, z jakim zapalony turysta kroczy przez najeżone trudnościami pierwotne dżungle.

Ukończywszy wędrówkę po chatach, nie omieszkajcie zapoznać się z karczmą. Najważniejszy to przybytek na wsi po kościele i szkole. A często wywierający wpływ większy od obu czcigodnych instytucyj. Tutaj, w zakopconych, zatęchłych izbach, króluje czarnoksiężnik - alkohol. Wydobywa on z piersi ludzkich wylewy uczuć, pobudza do naiwnej szczerości najzatwardzialsze serca. Wywleka z głębin dusz bunty, zaciska pięści w srogich atakach zemsty. Gra na nerwach, obezwładnia mięśnie, zawraca mózgi, najmocniejszych ciska pod ławy.

Więcej. Potrafi zamieniać ludzi w bydło ryczące, bezwolne, pozbawione władz myślenia, czujące się dobrze w rynsztoku. Uczciwych przetwarza w zbrodniarzy, zamożnych rzuca na pastwę nędzy. Trudno wyliczyć wszystkie praktyki czarodzieja.

Karczma z czarnoksiężnikiem - alkoholem zastępuje ponadto ludziom wsi teatry, kina, światła neonowe i rozliczne inne kulturalne zdobycze wielkich miast.

Alkohol przesącza się także obficie przez przesiąknięte słodkim oparem trunków wnętrza karczmy. Wstępuje do chat, aby uświetniać chrzciny, wesela, stypy pogrzebowe —

wszystkie uroczyste święta. Zawsze wstępuje jako apostoł radości, pogromca trosk, wybawca z trzeźwości, pobudzacz do pieśni, podniecacz do tańca. A wychodzi jak upiór, opity krwią ludzką i potem, z ironicznym uśmiechem, zostawiając spustoszenie, ponurość, pustkę w duszy, zubożenie w kieszeni.

Nie dziwcie się ani ulegajcie zgorszeniu, że alkohol dzierży despotyczną niemal władzę po wielu wsiach mazowieckich. Współczuciem raczej darzcie chłopą i nie skąpcie ukłónów szacunku w jego stronę. Bo to rzuca się w potoki ognistego płynu bujna natura wieśniaka któremu warunki skąpią od wielu setek lat możności wyżycia się w sposób szlachetniejszy.

O, tak. Ciężko jest żyć żywiołowi w pustce beznadziei...

Czym jest Mazowsze w świetle współczesności?

Dla cudzoziemskiego turysty czy też sceptycznego mieszkańca dużych miast polskich będzie przedstawiało Mazowsze — środek Polski — urok egzotyczności. Spojrzy na mazowieckiego niepiśmiennego niedźwiedzia, gnieźdzącego się w jamie, zwanej izbą, jak na okaz człowieka, zachowany nieźle z przed kilkuset lat. Jako curiosum pokażą mu przewodnicy tańce ludowe, prymitywne wyroby w drzewie, wyszycia, każą posłuchać pieśni lub

naiwnych bajek. To chłopska rodzima kultura.

Cóż innego zainteresuje podróżnika u dzikich ludów Afryki, Ameryki, czy Australii? Jest to „charakterystyczne”, „interesujące” — i tyle.

Jakby się patrzyło na niedźwiedzia, tańczącego na dwóch łapach.

Gdy ten człowiek pierwotny posłucha radia, nauczy się śpiewać piosenki kabaretowe, gdy znajdzie się w towarzystwie wyziewów kultury wielkomiejskiej, staje się jeszcze bardziej komiczny.

Tak jest w oczach obcych i swoich sceptyków.

Ja nie jestem ani obcym, ani sceptykiem, gdy przebywam wśród mazowieckich chłopów. Poco?

Ległaby mi na oczach pustka litości i przyćmiłaby urodę sielanki. Ani nie podchodzę do wsi z chorągiewką narodowego sentymentu. Chciałoby się wtedy biadać, ręce łamać, kląć, lub wołać wielkim, Skargowym głosem: „Ani minuty do stracenia! Każdy grosz na kształcenie chłopca! Każdy wysiłek na wydzieranie polskiego ludu z mroków XI stulecia! Na podnoszenie go w nieustrudzonym pędzie do wyżyn cywilizacji XX wieku!”

I zniknąłby spokój, tak potrzebny dla amatora estetycznych wzruszeń.

Wolę uznać, że pierwotność krajobrazu Ma-

zowska wraz z prawie-że nieucywilizowanym chłopem stanowi o uroku tej centralnej dzielnicy Polski. Niskie, ślepe niemal chaty z ciężkimi ładunkami poczerniałej słomy jakże uroczco dostrajają się do tych pól, uduchowionych chlebem, mięsem i odzieniem!

Jakże rozkosznie oddychają płuca, gdzie człowiek, — dodatek przyrody — nie zaśmiecą atmosfery dymami fabryk!

Jak lubo patrzeć na ludzkie stworzenia z takim uczuciem, jak na pasące się po polach konie, krowy, czy gęsi!

Oto gospodyni krząta się po podwórku na podobieństwo kwoki, stroskanej o wychowanie piskląt. Oto chłop kroczy za pługiem, jak obdarzona życiem bryła ziemi — z pokolenia w pokolenie jednak, — dzisiaj jak przed tysiącem lat.

Czy to nie sielanka?

Chętnie wierzy się w prawdę słów lirnika mazowieckiego:

*Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju
Jakby jedna dusza była w całym kraju.
Oj, ślicznaż to ziemia, to nasze Mazowsze
I czystsza tam woda i powietrze zdrowsze
I sosny roślejsze i dziewczki kraśniejsze,
I ludzie mocniejsi i niebo jaśniejsze...*

Człowiek z przyrodą zlewa się w jeden miły, wielki żywot, —przedziwnie wdzięczny obiekt

dla malarza, czy poety, wnoszącego w świat techniki słodką, dziecięcą naiwność pierwotnego człowieka.

Zaiste nie chce się myśleć wśród tych pól mazowieckich, że kulę ziemską ogarnął jakiś wiek dwudziesty, wiek zawrotnego tempa, panowania maszyny, huk, stuku, nerwów... Łatwiej i milej przedostać się myślami przez niezarośnięty ugór dziejów do czasów, gdy lud pierwotny hasał jeszcze przed tysiącem lat po zalegających tu puszcach.

Patrząc na chłopa, oddycha się niemal barbarzyńską pańszczyzną. Widzi się, jak rosta ona garbem na plecach uśpionego człowieka w ciągu setek lat, aż tak przyrosła, że nawet po zniesieniu niewolnictwa garb nie zniknął. Zda się, że chłop mazowiecki dotąd tkwi nawpół w letargicznym śnie średniowiecza, odporny na wielkie wstrząsy współczesności, obcy ogólnoludzkim postępom i entuzjazmowi, wytrwały w swej cichej pracy, bogobojny, — a przy tym gotów do pijaństwa, pieniactwa, awanturniczości.

I to Mazur, który kolonizował wiele krajów polskich i ruskich, który w pierwszych wiekach dziejów polskich wykazywał dużo inicjatywy i rzutkości!

Stanął, zahamowany w rozwoju — i czeka... Na kogo?

Zapewne na Polskę, której był ongi świa-

domym współtwórcą i którą musi tworzyć nadal.

Zakonserwowanie pierwotnych sił ludu może okazać się korzystnym dla Polski. Zapewne nie wydobyte na powierzchnię siły ludu tkwią dotąd w jego ciele i duchu. Byleby mądrze, a prędko zabrać się do odkrycia i eksploatacji pokładów energii ludowej, a może rozpali się ogień wielki i siłodajny. Zużytkowany w należyty sposób, zdolen będzie wprawić w ruch potężne fabryki duchowej i materialnej potęgi Polski.

Mazowsze czeka. Czeką na świadomą, twórczą pracę dla państwa. A że umie służyć wierne i hojnie darzyć, niech przykładem będzie stosunek jego do kościoła. Wystarczy spojrzeć na świątynie, — wyniosłe pałace, sterczące tryumfalnie nad nędzą wsi mazowieckiej. Wystarczy wspomnieć, że 505 wsi oddało ubogie, przeludnione Mazowsze duchowieństwu na własność. Toć jedno płockie biskupstwo czerpało sute dochody z własnych 6 miast i 236 wsi. Ciche, skromne opactwo czerwieńskie panoszyło się na 63 wsiach. A niezliczone daniny w naturaliach czy gotówce, wybierane przy okazjach na kościoły i klasztory, za msze święte, pogrzeby, chrzciny, śluby?...

Chłop mazowiecki dobrze potrafi płacić, gdy coś ukocha miłością wielką i świętą.

VII.

Wśród mizernych osiedli, skupionych przy mazowieckiej drodze wiślanej, miło odbija piękny gmach, panujący nad łagodnie nachylnym zboczem, zamienionym w park, uśmiechnięty szmaragdowymi trawnikami, ubarwiony ponętными kwietnikami, wzbogacony szeregami drzew owocowych, ucywilizowany czystymi alejami i ścieżynami. U podnóża parku kusi złocista plaża, a w bliskim jego sąsiedztwie wysokopienny las sosnowy oddaje do dyspozycji szczęśliwym mieszkańcom pałacu swoje cieniste, zdrowe głębie.

A więc są na mazowieckim pobrzeżu ludzie, przybywający tutaj po uśmiech i zdrowie, korzystający beztrosko z darów przyrody.

Po chwili wysypuje się do parku czarny rój szczęśliwców. Księża.

Ten piękny zakątek to Antonówka, dom letniskowy dla kleru.

Pięknie jest na plaży w Antonówce. Piękniej jednak na kajaku. Ciągła zmiana, ciągły ruch. Niema Antoniówki — jest romantycznie położony wśród tajemniczych wzgórz i wyniosłych drzew Duninów. Są wyspy nieruchome i ruchome statki, łodzie, tratwy, berlinki. Co krok nowe widoki — i co krok wielkimi głosami pisana historia.

Zatrzymuje mnie Dobrzyń, rozparty na wy-

sokim, prawym brzegu. Jedna z najstarszych osad nadwiślańskich. Zanadto osławiona, aby podkreślać jej znaczenie dla Polski. Bracia Dobrzyńscy, Konrad Mazowiecki, Krzyżacy...

Wisłę zda się przekreślać w tym miejscu pierwszy wielki krzyż, czerniejący na białym łąbie. Odtąd wzdłuż brzegów królowej rzek polskich towarzyszą aż do morza widma łapczywych, krwiożerczych i obłudnych rycerzy — zakonników.

W Dobrzyniu widma te nie zostawiły śladów widocznych, namacalnych.

Wspinam się po spadzistym brzegu. Nie dziw, że w tym karkołomnym miejscu wybrali nasi prapradziadowie teren na grodzisko i że później książęta pobudowali tu zamek obronny, o którym dzieje wspominają już za czasów Bolesława Śmiałego, Dziw zato bierze, że po dziś dzień chce się ludziom mieszkać na stromościach, czyniących tu i ówdzie wrażenie przepaści.

Ładny jest ten stary Dobrzyń, gdy patrzeć od strony Wisły na jego dziwaczne załamania, wygięcia, ciemne plamy chat i jasne tło zbocza. Ale spędzać wiele lat życia wśród tego zbiorowiska niewygód, — nie, to nie może należeć do przyjemności. Trudno uważać za trafny wybór miejsca, gdzie na podwórku trzeba mieć się na baczności, aby nie fiknąć kozła do sąsiedniej, niższej posesji, albo gdzie w czasie

silnej ulewy można spłynąć razem z domem i własnym kawałkiem gruntu do Wisły.

Co prawda domy te przedstawiają mniej obiektywnej wartości nawet od przeciętnych chat mazowieckich. Kupa gliny, trochę drzewa i słomy. Jakaś przejściowa forma od ziemnych nor troglodytów do chat, wyprowadzonych już całkowicie nad ziemią. Na świat Boży patrzą okienka tych lepierek tak małymi oczkami, jakby wczoraj dopiero wylazły z mroków wnętrza ziemi. Kominy też nie wszędzie uznano za potrzebne.

Z tych chałup wylażą gromadki dzieci o cerach, podobnych do gliny, ale małego zwinnych. Są tak dobrze oswojone z trudnym terenem, jakby je kołysano w okresie niemowlęctwa na rozpędzonych huśtawkach, a czas raczkowania jakby spędzały na stromych dachach.

Jednym słowem — górale Mazowsza.

To jest najciekawsza część Dobrzyń. Trochę dalej od Wisły Dobrzyń nie przedstawia już większego uroku. Błądząc po jego brudnych uliczkach, obramowanych w marne, drewniane domki, trudno odtworzyć sobie obraz miasta dużego ongi, bogatego, kipiącego życiem. Miasta ludnego, najeżonego warowniami, uświęconego siedmioma kościołami i kolegiatą. Śmiertelnie raniony przez szwedzki najazd, złupiony, pozbawiony kościołów i zamków, wegetuje sobie Dobrzyń dzisiaj skro-

mnie, cicho, jak na zubożonego emeryta przystało.

Za Dobrzyniem opuszczam basen Mazowsza. Po prawej dotrzymuje mi jeszcze czas jakiś towarzystwa sfalowany kraj Ziemi Dobrzyńskiej — pierwszy zwiastun Pojezierza. Po lewej witają już Kujawy niskie, niepozorne, a przecież sławne w narodzie polskim po wieki. Na tych błogosławionych czarnoziemach baśniennych przyszło na świat cudowne dziecko, z którego wyrosło potężne państwo polskie.

VIII.

Włocławek. Jakiż inny charakter tego miasta, niż tylu miast nadwiślańskich! Rozlewa się szeroko i płytko. Ponad tę płyciznę wynosi się katedra jak przedziwny okręt, strzelający w niebieskie morze dwoma gigantycznymi masztami wież.

Właściwie nie wartoby zatrzymywać się dłużej w Włocławku, gdyby nie ta katedra. Ona jest cudownym kwiatem czarnoziemów kujawskich. Ona wydarła przed wieloma wiekami prymat kościelny najstarszej katedrze piastowskiej. Napis, wyryty na zewnętrznej ścianie świątyni włocławskiej obok sławnego kompasu z konstelacjami — dzieła M. Kopernika — głosi po wsze czasy, że już w 1159 r.

przeniesiono katedrę z Kruszwicy do Włocławka.

Odtąd nabiera katedra coraz większego znaczenia. Czyny gospodarzy jej — biskupów włocławskich — jaśniejają niejednokrotnie nie tylko w historii kościoła. Ponieważ Włocławek był w pierwszych wiekach dziejów polskich miastem kresowym, katedra jego pełniła rolę fortecy polskiego ducha. Była przedmiotem nienawiści pomorskich pogan, a potem chrześcijańskich Krzyżaków. Biskupi, dowódcy katedry i całego miasta, niejednokrotnie byli zmuszeni zamieniać duchowne szaty na rycerskie zbroje, krzyże na miecze.

Najjaśniejszą sławą otaczają dzieje Włocławka biskupa-rycerza Macieja Golanczewskiego. W niespokojnych żył on czasach. Burze krzyżackie nawiedzały raz po raz Kujawy. Wreszcie napastnicy zniszczyli katedrę włocławską i zabronili pod karą śmierci odbudowania świątyni.

Biskup Golanczewski nie uląkł się groźby. Postawił mały kościół św. Witalisa, który miał być modelem nowej, potężnej katedry. A, gdy Krzyżacy ponieśli sromotną klęskę pod Płowcami, przystąpił pasterz do budowy właściwej katedry.

Odtąd rosła świątynia i piękniała. Rozkwit Włocławka był jej rozkwitem. A Włocławek wybił się na jeden z większych portów zbożo-

wych Polski. Stąd szła przenica do Anglii, Francji, a nawet do Konstantynopola. Bystrą strugą płynęły ofiary na katedrę. Pęcniął skarbiec kościelny. Biskupi włocławscy porastali w bogactwa i wpływy. Często gościli u siebie polskich możnowładców. Nieraz zdarzało się, że i królowie przybywali do nich w gościnę. Wiadomo, jakimi wpływami cieszył się Zbigniew Oleśnicki, biskup kujawski, a później taki Stanisław Karnkowski, który koronował Batorego.

Ale nadeszły i dla Włocławka kiepskie czasy. Gdy lunął na Polskę potop szwedzki, długotrwałe wojny zniszczyły kwitnące miasto. Skrzętnie zbierane bezcenne bogactwa katedry stały się łupem najeźdźców. Nie oszczędzili oni nawet grobów wielu dygnitarzy kościoła.

Kilkakrotnie jeszcze ulegało miasto wraz z katedrą niszczeniom i rabunkom. Z początkiem osiemnastego wieku splądrowały je wojna rosyjskie. Po rozbiorach Prusacy skonfiskowali dobra biskupie, a za czasów przynależności do Królestwa Polskiego przeżywał Włocławek ciężkie chwile, biorąc gorliwy udział w obu nieudanych powstaniach. Wreszcie nienajmniej strat kosztowały miasto: wojna światowa, okupacja oraz trzydniowa bitwa w sierpniu 1920 roku. Pociski nie oszczędziły

wtedy nawet wnętrza katedry, wyrządzając w niej dotkliwe szkody.

Dzisiejsza katedra włocławska to nie ta starszka z czasów Golanczewskiego. — Ale usiłuje zbliżyć się do niej wyglądem. W drugiej połowie dziewiętnastego wieku znalazł się w Włocławku entuzjasta gotyku, który, sprzedawszy cenny klejnot ze skarbca katedralnego i zebrawszy liczne datki, przystąpił do wyleczenia kościoła z narośli późniejszych stylów i przywrócenia mu pierwotnego, gotyckiego wyglądu.

Czy dobrze uczynił?

Różni różnie mówią. Moja odpowiedź jest prosta: kocham gotyk. Nie potrafią nastroić mojej duszy na ton skupionej i wzniosłej modlitwy kościoły — pałace renesansowe, barokowe, czy rokokowe.

Romańszczyzna przygniata mnie, doskonale piękny klasycyzm podnosi — i ziębi.

Jak kościół — to gotycki. Pomagają wzniesieniu się ducha kolumny, wydzierające się z ziemi nie po to, aby, zatoczywszy łuk, opaść po drugiej stronie nawy, — ale kolumny, wysyłające słuźki aż tam, na szczyt sklepienia, które bodą ostrymi żebrami. Po tych żebrach — kamiennych tęsknotach ziemi — nie ześlizguje się myśl jak piorun po spadochronie. Myśl idzie dalej, popędzana kształtem łuków,

jak po palcach, złożonych do nadniebnej modlitwy.

Żaden fragment architektoniczny w gotyku nie zatrzymuje rozpędu duszy, a tysiąc, dziesiątki tysięcy pnących się w górę anten pomaga głosom przedostać się w nieskończone dale. Kościół gotycki — to megafon dla słów, wielbiących Boga. Z kształtami modlą się barwy, światła, umiastycznione przez rozmodlone witraże, ujęte w języki płomienne.

A już najpotężniejszym krzykiem do nieba są wieże, wypięte jak strzały w pierś nieskończoności.

Kościół gotycki, to najcudniejsze żywe istoty, stworzone przez człowieka. Tak, żywe. Mają zdolność stopienia się w jedną wielką, organiczną całość z duszami, które do nich przychodzą na rozmowę z Bogiem. Taki kościół staje się duszą zbiorową i ciałem zbiorowym a przede wszystkim, — sercem serc.

O, gwiazdy, rzucające z zwartych ogni pierś promienie w wsze strony, jak snopy sklepień krzyżowych, — czy wasz początek w twórczym natchnieniu Boga nie był pierwotnym wzorem dla natchnionej duszy gotyckiego średniowiecza?

Zaszło słońce gotyku w architekturze na globie ziemskim, ale kosmos wiecznie śpiewać będzie ostrymi grotami promieni i każdy

ogień, rozpalony na ziemi, budować będzie gorącą pieśń tęsknoty gotyckimi promieniami.

*

Świątynia włocławska starała się w miarę swoich możliwości wyzyskać cudowny motyw gotyku. Od frontu pnie się w górę strzeliście dwoma czworobocznymi wieżami, strojnymi w wieżyczki i różne sterczyny. Wnęki okienne, zasklepione bądź otwarte, patrzą dwoma i trzema nałęczami. Między sterczynami szczytu wyzierają tajemnicze trójkąty o typie „nadwiślańskim”.

Poza dolnymi częściami wież wspina się bryła świątyni dość szybko ku górze, aby wraz z tarasami stromych dachów naw bocznych przy pomocy przypór połączyć się śmiałym rzutem z masywem nawy głównej. Z tyłu przywarowało prezbiterium. Wieniec kaplic, nie złączonych z całością konstrukcyjnie, wdzieńczy się dookoła architektonicznie zwartej całości. Nad pięknym portalem — wrotami świątyni — czuwa mistyczna rozeta, bogato laskowana, — tajemnicze serce gotyku.

We wnętrzu bodą przestrzeń kościoła potężne filary międzynawowe, solidne podstawy dla przypór nawy głównej, sięgającej samego dachu. Sklepienie krzyżowe, — żebra wiązane w snopy.

Na tym kończy się ogólna mowa bryły ka-

tedry. Do niej dolepiono ornamentykę dość banalną, choć nie pozbawioną uroku,

Polichromia, utrzymana w stylu XIV wieku, ma dodać murom bogactwa treści. Ważność sklepienia podkreślono barwą nieba, słońcem, księżycem i gwiazdami. Tam, na wysokościach, umieścił artysta ukrzyżowanego Chrystusa w towarzystwie M. Bożej, św. Jana i gromady aniołów. Na boczne ściany, na filary i kolumny rzucono hojną dłońią barwy, uwięzione w figury geometryczne, w stylizowane kwiaty, w postaci aniołów i świętych, w herby biskupie, monogramy, mnogie napisy.. Barwne obrazy wskliły się także w niektóre okna, przepuszczające do wnętrza rozżęczone światło.

Umeblowanie kościoła kosztowne i nieraz kunsztowne osiąga cel, dla którego zapewne zapchano nim zbyt obficie wnętrze: bogactwem budzi szacunek i podziw u tych, którym obcą jest wyniosła mowa nagiej architektury.

Z nieśmiałą pobożnością kroczą tłumy po wytwornej posadzce z chęcińskiego marmuru. Z namaszczeniem słuchają kazania, głoszonego z misternie rzeźbionej, dębowej ambony. Z należną pokorą patrzą na kościelnych dygnitarzy, którzy siedzą w stallach, obficie udekorowanych rzeźbami. Niemało czcigodności dodają dostojnikom cenne figury świętych, wychylających się nad nimi z nisz ka-

miennych, a patronujące nad stallami od pięciu zgórą wieków.

A ołtarze — owe magiczne stoły, ułatwiające rozmowy z Bogiem? Jest ich sporo i dbano o ich bogactwo. Zajmują naczelne miejsca w prezbiterium, w nawach bocznych, w kaplicach. Starają się dostosować do architektury.

Ale najcenniejszą pamiątkę katedry stanowi pomnik — grobowiec Piotra Moszyńskiego z pracowni W. Stwosza.

Dodatek architektonicznie obcy, a interesujący stanowią kaplice. Doczepiały się do katedry w różnych okresach. Są wśród nich gotyckie, wdzięczy się renesansowa, mizdrzy barokowa. W gotyckiej kaplicy św. Marcina zwraca uwagę „Wieczerza Pańska”, w drzewie rzeźbiona, żywo przywodząca na pamięć dzieła mistrza Stwosza.

Kto chce nacieszyć oczy podobizną ślicznej renesansowej kaplicy Jagiellońskiej, niech nie ominie kaplicy N. M. Panny z XVII wieku. Znajdzie w niej wdzięczne sklepienie kopułaste, uwieńczone latarnią, zdobne w skrzyńce i rozety. Cennymi okazami są tutaj figury św. św.: Wojciecha, Stanisława, Floriana i Jacka, rzeźbione w szarym kamieniu.

— — — — —

Ściśnięta u stóp gromadą budynków sza-

rych, brzydkich, nie ukazuje katedra wrocławska swych wdzięków bezpośredniemu otoczeniu.

Schodzę nieco w dół, do pobliskiego ogrodu Sienkiewicza. Ogarniają mnie srebrno-seledynowe wieżyczki świerków, ciemno-zielone kopuły liściastych drzew. Łagodna linia zbocza prowadzi ku rzeczulce, objętej wdzięcznie kilkoma mostami. Jest uroczo, łagodnie.

Rozaksamitniony tą bajką przyrody, rzucam wzrok na katedrę. Nie widać jej stóp. Wyrastają ponad drzewa odrazu dwie wieże, jak dwie kamienne ręce, wzniesione przez ten kawał ziemi ku Bogu. Oto modlitwa średniowiecza, mistyczna, obłąkana pragnieniem wymarzonej świętości, rwąca się w uniesieniu ponad poziom ku innemu światu.

Rzucam raz jeszcze spojrzenie dokoła. Jakże doskonałe tło do uśredniowiecznienia myśli. Zgłowiączka, ukryta przed światem jasności gęstwą żyjącej zieleni, wiję się w miękkich skrętach, cudnie wkomponowana w ciemne i ciche tło. Uduchowia i bogaci. Drzewa patrzą tylko w niebo i w ciche zwierciadło wody. Mostki leżą cicho przyczajone, jak gdyby zapomniane, oczekując na rozmarzonego poszukiwacza przyrody. A tam, wysoko, w oddali gotyk... Fragment umarłego miasta Bruges.

Kto zdobędzie się na odwagę, aby w przeciągu niewielu minut przenieść się ze świata piękna w jarmark pospolitości, niechaj wyrwie się wprost z objęć katedry czy parku w chaos ulic, uliczek i placów starego Włocławka. Walka o byt z obliczem rozkrzyczanym, złym, ponurym.

Nowe miasto chowa szarą codzienność pod upiększające szminki. Gdzieś wyplynie przystojniejsza, „nowoczesna” ulica, córka ludzi zamożniejszych. A wtedy wzrok kieruje się mimowoli ku czerwonym, grubym palcom fabrycznych kominów, impertynencko wyłazącym nad poziomy, — palcom bogatych fabrykantów, których coraz więcej w starym grodzie biskupim. Coraz głębiej w cień chowają się zabytki Włocławka z pięknym, wysmukłym, poważnym i skromnym kościołem św. Witalisa z XVI w. oraz z gotyckim kościołem św. Jana z XVI wieku na czele.

Włocławek, uwieńczony koroną średnio-wiecznego kościoła, zarasta fabrykami narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych, itp., unowocześnia się, idzie „naprzód”.

IX.

Drogę zagradza dziwna wyspa, Bobrowniki. Ponad zielenią wychylają się nieznacznie czerwone, krwawe plamy, jak masy zakrzepłej krwi. Ruiny zamku krzyżackiego, który w mistrz krzyżacki v. Jungingen nie omieszkał wystawić, wykupiwszy wyspę z rąk Wł. Opolskiego. Ciężkie wspomnienie krzyżactwa.

Znalazłem się u wrót umarłego państwa zakonnego, którego celem najpierwszym było wypijanie krwi z ciała Polski, naiwnie szukającej pomocy u drapieżnych zakonników.

Przyzwyczajiliśmy się do mówienia o krzyżactwie z perspektywy dziejowej spokojnie, trzeźwo, łagodnie. A jednak zetknięcie się na drodze wiślanej z dowodami inwazji krzyżackiej powoduje napór krwi do głowy i bolesny skurcz serca. Żadna powieść, żadna historyczna książka nie jest w stanie wywołać tak mocne wrażenia bezpośredniości, jak zetknięcie się z pamiątkami historycznymi w terenie. Jak teleskop skraca przestrzeń, tak zabytki przebijają odległości czasu, przeszłość wpierając w rzeczywistość dzisiejszą.

Najważniejsza, do wylotu na świat zbliżająca się część głównej arterii potężnego państwa zakuta była na ogromnej przestrzeni trzystu kilometrów w niewolę stokroć gorszą od lodowych okowów. Odtąd już aż do same-

go morza witać mnie będą na urwistych wyniosłościach nie ruiny zamków książąt polskich, pradawnych władców tych ziem, ale złowrogie mury zamków krzyżackich. Wizja zmory, która po dziś dzień skutkami swymi ciąży tam dalej, — u ujścia Wisły — zaporą niemczyzny.

Za Bobrownikami Nieszawa. Podkreśla ważność Wisły dla Polski szeregiem starych, drewnianych i murowanych spichrzów. Dziw bierze, że prastare to osiedle i ważny ongi port nie nosi śladów niewoli krzyżackiej. Zawdzięcza to Nieszawa okoliczności, że dopiero od XV wieku zaczęła na większą skalę handlować zbożem. To też jej pamiątki historyczne sięgają wstecz niedalej jak XV wieku. Są to: gotycki piękny kościół farny z surowej cegły z czworoboczną wieżą i kościół św. Krzyża, pierwotnie również ostrołukowy, następnie zbarokowany, przyciśnięty wewnątrz płaskim, tynkowanym pułapem. Ocalało w nim jedynie gotyckie sklepienie w absydzie. Miłe i tchnące skromnym wdziękiem miasteczko, ozdobione ładnym klasycystycznym ratuszem, pomalowane białoczerwonymi plamami domków, udostępniające Wisłę bulwarami, obrał sobie za siedzibę najsubtelniejszy znawca piękna polskiej architektury inżynier-malarz Nc-akowski.

Poniżej Nieszawy urządziły na mnie napać

aż trzy burze po kolei. Gwałtowne ataki wód z nieba, gdy płynie się po wodzie, nie należą do przyjemności. Mimo to wdzięczny byłem walce żywiołów, że mi tym razem właśnie u bram wspomnień krzyżactwa podmalowały groźnym, głębokim, niesamowitym tłem sterzące zdała na wysokim garbie ruiny zamku w Złotorii, zniszczonego przed wiekami przez w. mistrza Ulrycha v. Jungingen, jakby wykąpane przez przyrodę z pyłu wieków. Na tle wzburzonej, mętnej Wisły i chmur kłębiastych, opuszczających roześmiane niebo, czy niły wrażenie niemal wesołe.

Rozdyszana pięknem burzy i cudem wracającej pogody, przyroda zdawała się mówić: „Życie zbudowane zostało z dobra i zła, z szczęścia i nieszczęścia”.

Nad zwaliskami podeptanego polskiego zamku zatryumfowała znowu tęcza zmar-twychwstałej polskości...

Niedaleko już do Torunia. Pragnę ujrzeć go w obliczu zachodzącego słońca.

X.

Zbliża się wieczór lipcowy. Słońce — zwycięskie od czasów kopernikowych słońce — rzuca na pożegnanie ziemi orgię barw w niebo i na budowlę Torunia. Odblaski zachodzą-

cego dnia znakomicie podkreślają pyszne kontury wież kościelnych o kształtach iglic czy też ogromnych trapezów. W ich cieniu czają się posmutniałe fragmenty dawnych fortyfikacyj i tłumne rzesze rozmaitych gmachów.

Umarły już, połamane, wyszczerbione przez czas i wojny wysokie baszty, bramy i mury dumnych zamków, a stare kościoły żyją po dzień dzisiejszy, napełniając się raz po raz modlitwami ludzkich tłumów.

Pyszne — i jakże wymowne miasto.

Toruń — pieśń kamienna zwycięstwa świętych pierwiastków duszy ludzkiej nad barbarzyństwem wojny. Wiekami pisany dramat zmagania się najwyższych tęsknot serca ludzkiego z jego barbarzyńskimi instynktami, z uczuciami nienawiści, zazdrości, łapczywości, okrucieństwa i całej długiej — dłuższej od wszelkich pobożnych westchnień — litanii diabelskiej.

O, genialna duszo Kopernika! — dobre wybrałaś miejsce, aby objawić ludzkości nieprzeczuwaną mózgiem wieków starożytnych i średniowiecznych potęgę wszechświata, aby postawić dumną kulę ziemską w szeregu mikroskopijnych planet, aby ważność ludzkich zdarzeń sprowadzić do nieszkodliwej zabawy mikrobów, przyczepionych do błędnego globu, przyprzężonego dzięki słońcu do wielkich

dziejów Kosmosu. Toruń wart był twoich objawień.

Wstąpiłem w objęcia stolicy Pomorza jak do bezcennego przybytku sztuki. Godnie przywitał mnie stary gród słowiański, przywrócony tak niedawno polskiej macierzy po półtorawiekowej hańbie niewoli.

Z uczuciem dumy wchodzę do miasta, w którym żywioł polski drogą pokojowego podboju pobił na głowę panujący tu przez długi przeciąg czasu napływ niemiecki.

Czyż to możliwe? Przyzwyczailiśmy się do hiobowych stwierdzeń, że polski element umiał na zachodzie ponosić tylko straty na rzecz napastliwego germanizmu. A jednak... Dzieje Torunia zaprzeczają temu wyraźnie.

Dawne to były czasy, gdy nawpół barbarzyńscy jeszcze Słowianie założyli w tym miejscu osadę. Nie przypuszczali poczciwi autochtonowie, że skromna ich wioska stanie się kiedyś głównym ośrodkiem wrogiej potęgi, która stąd dążyć będzie do podboju ziemi Chełmińskiej.

Z górą siedemset lat temu przybyli do skromnego Torunia wojowniczy zakonnicy i zaczęli budować gród warowny. Stwierdzisz, że miejsce jest wymarzone dla zaborczych celów, rozszerzyli osiedle i otoczyli je fortyfikacjami. Mało tego. Wkrótce potem założyli obok drugie miasto, nie żałując kamienia i

cegły na otoczenie go również srogimi murami. Między oba obwarowane miasta, połączone tęgimi bramami, wparł swe baszty potężny zamek.

Do obu miast Torunia ściągali z dalekich stron osadnicy flandryjscy, westfalscy, nadreńscy, łużyccy, sascy i zniemczeni Ślązacy. Przyciągały ich doskonałe warunki egzystencji. Ogromne korzyści dawało Toruniowi położenie nad Wisłą oraz można pomoc i opieka ze strony krzyżactwa.

Germański Toruń — ta doskonale umocniona wyspa niemczyzny na ziemiach słowiańskich przy głównej arterii komunikacyjnej u nasady nadmorskiego Pomorza — to myśl genialna wrogów Polski, to ni mniej ni więcej, tylko odcięcie państwa polskiego od morza, wypijanie odżywczych soków, a w przyszłości opanowanie zubożałego narodu.

Realizacja powyższej koncepcji postępowała szybko. Toruń rozrastał się z roku na rok. Stał się wkrótce członkiem najpotężniejszego na północy związku Hanzeatyckiego. W niedługim czasie cały handel na Wiśle od Krakowa do Gdańska został uzależniony od tego krzyżackiego pupila. Niemiecki Toruń nie dopuścił nawet do wzrostu znaczenia Gdańska, który był wtedy zanadto polskim i zepchnął nadmorski port na plan drugi.

Sypały się przywileje na szczęśliwe miasto.

W roku 1365 obdarzył w. mistrz kupców toruńskich niezwykłym podarunkiem: nadał im prawo składu. Był to wspaniały prezent, ofiarowany z kieszeni polskiego narodu. Odtąd wszystkie towary, ciągnące z ziem polskich, a nawet i ruskich drogą wodną czy lądową do Bałtyku i naodwrot, musiały być wystawiane w Toruniu na sprzedaż. Aby nie dopuścić do przemycania towarów, utrzymywali Toruńczycy zbrojne hufce, które urządzały na kupców polowania na dużym terenie aż po Nakło.

Krzywdzące polskie miasta prawo składu zniósł dopiero Zygmunt August. Wówczas zresztą był już Toruń miastem w znacznej mierze polskim. Tak, polskim. Butne plany Krzyżaków spaliły na panewce. Ośrodek wypadowy germańszczyzny przetworzył się w zarzewie, z którego wybuchł pożar przeciwgermański. W pożarze tym stopiły się rycerskie zbroje okrutnych zakonników, znaczone świętokradczo krzyżem, oraz zawaliły się niezdobyte — zdawało się — warownie krzyżackie Torunia.

Wiadomo, jak to w 1454 r. chwycili za broń mieszczanie toruńscy, doprowadzeni do wściekłości przez zdzierstwa swoich krzyżackich opiekunów. Zapewniwszy sobie pomoc Polski, oblegli zamek toruński, zdobyli go i w znacznej części zniszczyli. Niewiele pozostało odtąd z onego zamku, najstarszego i najpotężniej-

szego po słynnym zamku malborskim. To, co dotąd jako ruiny sterczy, przypomina hańbę krzyżactwa i chwałę polskości.

Była to świetna karta w naszej historii. Zwyciężył duch polski, zatryumfowała polska uczciwość.

Pozbywszy się krzyżackiej plagi, począł się patrycjat toruński masowo przyznawać do polskości. Toruń, w którym przez całe wieki tylko podmiejska biedota mieniła się Polakami, przeobraził się w miasto polskie.

I dobrze się działo w Toruniu, dopóki nie przyszła z Niemiec reformacja, która stanęła nową zaporą między żywiołem polskim a niemieckim. Przez dwa wieki toczył robak religijnych sporów społeczeństwo toruńskie, doprowadzając do walk i barbarzyńskich zniszczeń we wnętrzach kościołów. Wystarczy przypomnieć ów osławiony napad protestantów na klasztor jezuitów w 1724 roku, za co śmiercią ukarano burmistrza i dziewięciu mieszczan protestanckich. Surowa ta kara, rozdmuchana odpowiednio przez antypolską propagandę, rzuciła wówczas w opinii zachodu ciężką plamę nietolerancji na najbardziej przez długie lata tolerancyjne państwo Europy i wielce zaszkodziło Polsce w politycznych zmaganiach podczas ciężkiego okresu osiemnastego wieku.

Ale nie tylko wewnętrzne zamieszki podwa-

żały dobrobyt bogatego miasta, ufne go w potęgę swoich fortyfikacyj. Niezdobyte pierwotnie mury utraciły mocno na swej obronności, gdy do wojennych rozpraw wciągnięto nowy środek walki: armaty, wyrzucające kule przy pomocy prochu. Twierdza toruńska, lekceważąca konieczność ulepszeń, omal nie wpadła w ręce feldmarszałka szwedzkiego Hermana Wrangla, a w 1655 r. została zdobyta przez Karola Gustawa. W następnych dziesiątkach lat parokrotnie jeszcze zmieniała właścicieli. Polsko-austriackie wojska odebrały Toruń Szwedom. Następnie, chociaż August II uczynił z miasta nowoczesną fortecę, musiał Toruń kapitulować pod naporem wojsk Karola XII. Toruńska twierdza uległa wówczas zniszczeniu.

Dwukrotnie jeszcze był Toruń fortyfikowany przez Francuzów, a ostatnio zaborcy Pruscy wprowadzili doń silne umocnienia żelazobetonowe.

Nie spełniły już one swego zadania. Dnia osiemnastego stycznia 1918 roku wkroczyły do Torunia wojska polskie bez walki. Fortecę, nie potrzebną już, zburzyli nowi władcy. Pozostały tylko ruiny dawnych fortyfikacyj, świadki bogatej historii.

Wraz z murami fortecy zniknęła ostatecznie niemczyzna z Torunia. Ulice jego, place i gmachy napełniła polska mowa.

*

Oto mi miasto, które potrafiło połączyć w jedną harmonijną całość bujność przeszłości z wymaganiami teraźniejszości. Mistyczny urok gotyku postawić jak krzyż potrzebny na pałacu nowoczesnego życia. Powagą minionych dziejów podkreślić żywiołowy rozpęd dzisiejszej rzeczywistości.

Ładne pałace współczesne, bogate wystawy sklepowe, przestronne i dobrze brukowane ulice, wielkomiejski ruch — wszystko to nie mąci ciszy kościołów, schowanych przy wąskich uliczkach, pogrążonych w modlitwie i skupieniu.

Nie zawsze da się to powiedzieć o starych, sławnych z zabytków średniowiecznych miastach Belgii — o Brukseli, Gandawie, czy nawet o Bruges, w których napór życia przemysłowo-handlowego uderza bezpośrednio o klejnoty zabytków, profanując je i odzierając z uroku ciszy i powagi.

W Toruniu najbardziej może narażonym na ataki niesfornej współczesności jest stary ratusz. A jednak dzięki niezbyt dużej przestronności rynku Staromiejskiego, nie traci on łączności z wyniosłościami otaczających go starych budowli i wpływy ulic czy placów nie mogą dosięgać jego czcigodnej architektury. Szczyt ratusza rozmawia swobodnie z wieżami kościołów ponad zgłękiem ulicznym.

Nie bez powodów, patrząc na ratusz toruń-

ski, przywodzimy na pamięć stare miasta belgijskie. Ten najstarszy bodaj w Polsce ratusz miał pierwotnie wieżę oddzielną, wieżę-strażnicę, tak charakterystyczną dla miast flandryjskich, w których „beffroi” była symbolem wolności miasta. Później dopiero dobudowano do wieży miejskiej Torunia rodzaj sukienic z szeregiem sklepów oraz gmach magistratu, w którym umieszczono salę sądową, salę dla obrad miejskich i t. d.

Przebudowywany i rozbudowywany musiał być ratusz toruński wielokrotnie. Na murach jego znać wpływy budownictwa krzyżackiego, orientalnego, flandryjskiego. Gotyk tonie w kamiennych uściskach renesansu. W 17-yim wieku nadbudował nad gmachem jedno piętro Holender van Obbergen. Jakże wdzięcznie podniósł żebra gotyckie! Jak pięknie udekorował szczyt czterema renesansowymi facjatomami! Jak lotnie uskrzydlił go po rogach czterema ażurowymi wieżyczkami!

Niestety od tego czasu dużo ubyło z piękności ratusza. W 1803 r. zniszczyli go Szwedzi, a potem odbudowano go skromniej i niekompletnie. Potężna wieża stoi po dziś dzień niewykończona, bez głowy.

Dużo godności dodaje rynkowi Staromiejskiemu pomnik M. Kopernika, dłuta Tiecka. Wstyd przyznać, że dopiero w dziewiętnastym wieku obdarzył Toruń genialnego syna swoje-

go dowodem publicznej czci. Tablice pamiątkowe, umieszczone na ścianach domów przy ulicy Kopernika 15 i nr. 30 nie dają przechodniowi pojęcia o tym, w którym domu Kopernik przyszedł na świat. Wiadomo bowiem, że nie mogło się to stać w dwu domach. Jedno z nich kłamliwie reklamuje się jako kolebka geniusza.

Wróćmy do rynku. Prywatne kamienice, otaczające go, zdołały dotąd utrzymać cechy dawnych stylów, harmonizując ze starym ratuszem. Ale najczcigodniejszym jego towarzyszem jest pobliski kościół św. Jana. Najstarszy to zabytek religijny Torunia, którego prezbiterium zachowało się w kształcie nieskazonym od XIII wieku. W tym to kościele zastosowano po raz pierwszy w Europie północnej gwiaździste sklepienie.

Nad dobudowanymi później w różnych czasach częściami kościoła wynosi się ciężko kadłub wieży z piętnastego wieku w kształcie baszty, po dziś dzień niewykończony, nakryty prowizorycznym dachem.

Jak uroczyście, wyniośle wita nas wewnątrz kościoła! Otwiera rzadką u nas konstrukcję hallową: nad głowami wypinają się trzy nawy jednakowej wysokości. Malowidła, które ukwiecały ongi ściany świątyni, pochowały się pod białością wapiennego tynku. Nastrój jest wzniosły, surowy i smutny.

Wśród olbrzymich murów kościoła wdzięczą się różne drobniejsze cacka o różnej wartości artystycznej. Cicho zalega piękny grobowiec burmistrza Soesta. Przyciąga wzrok cenna figura Madonny z dzieciątkiem na ręku, arcydzieło sztuki francuskiej z XIV wieku. Chełpią się bogatą rzeźbą z XIV wieku stalle. Pyszną się renesansowym wykwintem śliczne epitafia i nagrobki toruńskich patrycjuszów, majstersztyki rzeźby niderlandzkiej. — Niemałą wartość emocjonalną przedstawia dla Polaka chrzcielnica, przy której chrzczone Kopernika i portret genialnego astronoma z XVI wieku, wiszący na ścianie kościoła.

Po przeciwległej stronie rynku modli się nad miastem świątynia inna, również z XIII wieku, poświęcona N. M. Pannie. Kościół ten uderza wzrok olbrzymimi masami ścian gładkich, obchodzących się bez zewnętrznych szkarp. Wspaniałe łuki okiennych otworów, kilkopiętrowej wysokości, wynoszą z wnętrza kościoła ciemności, rzucając tam wzamian przesianą przez barwy jasność słonecznej wymowy. Gładkie mury, nakryte stromym dachem, dźwigają z łatwością dwie delikatne wieżyczki.

W porównaniu z strzelistymi i pogodnymi konturami katedry wrocławskiej dziwnie ciężko przemawiają bryły toruńskich kościołów, poważne a mocne niby obronne zamki Krzy-

zaków. Wkroczyłem w dziedziny wpływów północy, gdzie Bóg surowy był dla człowieka, gdzie posępniejsza przyroda domagała się nieuśmiejnych przybytków dla Boga.

Wystarczy jednak zapuścić się w otchłanne wnętrze kościoła N. M. Panny, aby nastrój ciężkiej myśli przeanielił się w pogodny hymn na cześć piękna. Otacza mnie mistyczny półmrok, wypełniony widmami światła tajemniczych, barwnych, sączących się przez pyszne witraże. Z powodzi dyskretnie rozteczonego powietrza wynurzają się cenne skarby sztuki rzeźbiarskiej.

Oto rozpina ramiona krucyfiks, przyciskając do drewnianego ciała postać Chrystusa o twarzy pełnej boleści. Ta zjawia plastyczna zadziwia prawdą i prostotą. Gdzieindziej smuci się w barwnym mroku kamienna postać leżącej niewiasty. To Anna Wazówna, siostra Zygmunta I, ostatnia latorośl Jagiellonów, kobieta nieszczęśliwa, a pełna mądrości i miłosierdzia. Śliczny jej grobowiec należy do najpiękniejszych zabytków Torunia.

Błądząc wśród barwnej ciszy. Naraz na rozteczoną bajkę atmosfery napada potop dźwięków. Rodzi się symfonia barw i muzyki, wypełniająca kościół po brzegi, a z kościołem i duszę. Zagrały najpiękniejsze w Polsce organy, natchnione dzieło Jana Helwiga. Piękny ten instrument, urodzony w stylu późno-

renesansowym, zaprzął do swej architektury nie tylko święte anioły i św. Daniela, ale także bożków pogańskich — Merkurego i Saturna, aby wspólnie asystowali przy wygrzaniu hymnu piękna, obejmującego wszystkie światy i religie.

Trzeba przejść krótką, nowoczesną ulicę Szeroką, aby znaleźć się na rynku Nowomiejskim. Przy nim ulokował się w zacisznym kącie trzeci z prastarych kościołów Torunia, pod wezwaniem św. Jakuba. Zwartością bryły podobny jest do obu poprzednich, a przy tym znowu inny, lubujący się w kunsztownie obrobionych przyporach, wychodzący w górę dziwną podwójną wieżą, rozszerzającą się ku górze. Na dachu nawy bocznej sterczą smukłe wieżyczki jak pionki na szachownicy, oryginalne świadki zasklepionych już dziś wsporników.

Pod względem oryginalności i śmiałości pomysłu kościół św. Jakuba należy bezsprzecznie do najpiękniejszych budowli gotyckich w Polsce. Wprawdzie wnętrze uległo zbarokowaniu, kolumny i żebra wytrupiły białe tynki, ale przypadek zrządził, że z pod grobowej skorupy wyjrzał na światło dzienne prawdziwy cud starego gotyku. Prace restauratorskie ostatnich lat doprowadziły w kościele do niezwykłego odkrycia: w cudnym prezbiterium okazało się istne królestwo z bajki. Po sześćcio-

wiekowym prawie śnie powołane zostały do życia spod warstw tynku oryginalne malowidła gotyckie z końca XIV wieku. Spojrzały ze sklepienia rozmodlone anioły, pełne niezwykłego czaru pierwotności i prostoty, otworiły się oczom napisy, umieszczone pod stopami aniołów: „Sanctus, Sanctus Dominus Deus Sabbaoth”. Odezwały się autentycznym głosem mistycznego średniowiecza sugestywne napisy wstępowe. Uśmiechnęły się twórczym natchnieniem ornamenty, pnące się ku niebu wzdłuż żeber. Oczarowały wzrok stare malowania podłęczna, śliczne glazury filarów i inne kwiaty głęboko religijnych natchnień średniowiecza.

Te wskrzeszone dzieła artystów gotyku czynią z kościoła św. Jakuba jeden z najcenniejszych zabytków średniowiecznych — i to nie tylko w Polsce.

Skarby świątyni narastają. Każą oczekiwać nowych odkryć próbne badania, które pod grubą, parocentymetrową warstwą wapiennego tynku odgadują czarodziejskie malowidła w nawie głównej. Niedługo chyba czekać, a cały prastary kościół rozwośni się kolorami mistycznego średniowiecza, nietkniętymi niemal przez ząb czasu dzięki wapiennemu przykryciu.

Można wiele dni spędzić w Toruniu i każdego dnia lubować się nowymi odkryciami cennych pamiątek.

Można długo dumać na ruinach krzyżackiego zamku z XIII wieku. Można podziwiać pozostałości po dawnych fortyfikacjach miasta. Nie łatwo znaleźć w innym zakątku Polski taką naprzykład Krzywą Wieżę, pozostałość po najstarszej bodaj części umocnień, odchyloną od pionu na blisko półtora metra nie dzięki sztuce ludzkiej, ale z nakazu przyrody. Można rozkoszować się renesansowymi bramami warowni toruńskiej: bramą Mostową czy Klasztorną. Tłumy rzeczy ciekawych i cennych.

A potem dobrze wychylić się za śródmieście i poza urządzenia fortyfikacyjne — na przedmieścia, które wyrosły w oddzielne, duże dzielnice. Nie znajdziesz tam zabytków. Te części Torunia przemawiają życiem ostatnich dziesiątków lat. Najmilsze z nich Bydgoskie Przedmieście rozbudowała arystokracja miejska i inteligencja, wprowadziwszy między mury domków urocze, barwne ogródki.

Warto też skosztować sławne pierniki toruńskie. Bodaj ze względu na ich wielką sławę. Znano je przecież dawniej na całym świecie. Z dalekich stron płynął miód do Torunia. Córkę dostawały jako posag beczki z ciastem, zarobionym na pierniki. Wyroby z ciasta piernikowego stanowiły istne dzieła sztuki.

Trudno nie wspomnieć wreszcie o słynnych winnicach, które pokrywały okoliczne zbocza nadwiślańskie od czasów bardzo dawnych. Wino toruńskie budziło i podniecało humory nie tylko szlachcie i magnatom w Polsce. Wędrowało daleko poza jej granice. Niejeden król polski zapijał się nektarem toruńskim. Dużo beczulek toruńskiego wina posyłali Krzyżacy zagranicę do różnych książąt i królów, aby poparły chytre ich prośby.

Przemysł winny dawał przez długie wieki zarobek wielu mieszczanom toruńskim. Nawet sławny Mikołaj Kopernik pracował w winnicach swojego ojca.

XI.

Wisła stała się bardzo poważna, potężna, większa groźną głębią. Porzuciła niespokojne rzucanie piasku w mielizny. W pośpiechu do morza nie traci czasu na zakręty. Niosąc wody ogromnej większości ziem polskich, zna swoje znaczenie, moc, misję.

Ujęta przez człowieka w karby, stała się bardziej użyteczna, a przy tym — rzecz dziwna — nie utraciła nic z majestatycznego piękna. Przeciwnie. Pełniąc pracę ofiarną, nieustanną, świecąc najwyższym przykładem poświęcenia

wszystkich sił na usługi człowieka, nie zapomina ani na chwilę o ważności urody.

Przedziwną pięknością czaruje przedostatnie dzieło Wisły — dolina jej, przeorana przez ziemię Pomorską. Szeroka miejscami do 12 klm., wypełniona przez dary wiślane: — kępy, łągi i role uprawne, wystroiła się na czarodziejski ogród. Czego tu nie wymyśliła przyroda, aby oko uradować! Soczyste, szmaragdowe łąki ścielą się do stóp ruchomym plomom holenderskiego bydła. Ciemno-zielone dzungle wiklin stoją szeregami, umocnione w trudne do przebycia zapory długimi, upiększonymi w kwiaty i różnokształtne liście, ramionami ożyn, powoju, dzikiego chmielu. Gdzieś tam walczą o resztki bytu zanikające oczy jezior, napadnięte zewsząd przez urocze, a drapieżne rośliny. A obok pełne życia, doskonale uprawne role pyszną się żywym złotem zbóż i różnymi barwami warzyw. Zwarta zieleń lasu liściastego broni jakiejś tajemnicy przed atakami jasności dnia. Szeregi kolumn rdzawo-szarych sosnowego boru wynoszą tryumfalnie ku niebu kiście zieleni, wydarte ziemi. Skupiska różnorodnych krzewów błędzą nieruchomo po krajobrazie, strojąc się w rzeźby liści i soczyste kolory kwiecia.

A jakże pysznie rzeźbione są ramy doliny!

Tu wdzięczne, faliste linie wydm piaszczystych. Tam wyniosłe równiny, pokrajane dzi-

kimi wawozami. To znów strome, poszarpane brzegi ukazują nagie gleby Wiśle.

W tych ramach znajduje się szacowny skarb dzieł ludzkich: rozliczne starożytne grodziska, wielowiekowe osady, piękne miasta, groźne twierdze i bogate spichrze zbożowe...

Najbardziej natarczywie rzucają się w oczy posępne ślady panowania Krzyżaków i Niemców. W Toruniu, Chełmnie czy Grudziądzu, w Nowem czy Gniewie — we wszystkich większych skupiskach ludzkich królują okrutne bazyliki krzyżackie. Przy wszystkich też miastach wiją się opasłe, krwawe mury fortyfikacji niemieckich niby cielska mitycznych potworów. Im bliżej morza, tym więcej śladów najeżdźczych żywiołów. Aż przy samym morzu wyrasta klin zabójczy, obcy, wrogi, wbity w polskie ciało.

Nie trudno zaobserwować, płynąc Wisłą, jak żywioł germański udusić chciał Polskę murami i żelazem. Jak odgrodzić umiał od świata państwo polskie, drzemiące w kołysce prowincjonalizmu, pogrążone w błogim śnie lądowego znieruchomienia. Tutaj zrozumie każdy z druzgocącą wyrazistością piorunową aktualność krzyku, który zerwał się w Polsce przed kilku laty, a który rozchodzi się coraz szerzej i potężniej po kraju uśpionym, zakutym w obręcz granic lądowych: „Nie damy wydrzeć

okna na świat! Musimy mieć wolny dostęp do morza!"

Patrzcie! Wytęście wzrok! Czyż trudno od-
tworzyć tutaj parowiekowy okres, w którym
krzyżacki miecz, a potem pruskie armaty za-
kuły Wisłę na całe stulecia wegetacji? Na-
jeźdźcy stawiali warownie, aby gniotły spo-
kojny lud wiejski; kopali dokoła miast rowy,
aby wypełniała je krew pradawnych włodarzy
tych ziem.

Oto Chełmno. Śliczne miasto. Zachwycają-
ca, barwna ilustracja do bajki o groźnych ry-
cerzach, o srogich bojach, o możliwych wład-
cach...

Trzeba przyznać, że w piękne stroje oble-
kały się dawniej nie zawsze piękne tendencje.
Krwiożerczość, buta, drapieżne żądze budo-
wały sobie potężne zamki, okraszone wykwin-
tnymi łukami gotyku. Środki napadu i obrony
były dziełami sztuki. A potem wojna stawała
się zbyt powszechna, aby mogła bawić się
w piękne pozory. Miejsce wykwintnych zam-
ków i malowniczych fortyfikacyj zajęły cięż-
kie, ordynarne warownie, by wreszcie ustąpić
miejsca podziemnym jaskiniom żelazo-betono-
wym, ponurym, gotowym grobom dla obroń-
ców i napastników.

Chełmno zachwyca turystę dawnymi, malowniczymi jeszcze fragmentami warowni. Na stromym wzgórzu, pokrytym gęstwą drzew, sterczą okrutne mury metrowej grubości, przeplatane posępnymi wieżami. Jedyna brama pozwala przejść poza obręb fortecy. A za murami, na szczycie, wystrzelają niedostępne baszty. Niesamowitego nastroju dodają podziemne, długie chodniki, kryjące niejedną tajemnicę.

W tę grozę, dzisiaj nie straszną, owitą mgłą wielu wieków, wparły się niby rycerze radości i wyzwolenia, rozkoszne parki, skwery, wesołe budynki. Na rowach fortecznych, użyźnionych krwią wielu poległych, rosną radosne bukiety kwiatów i kolumny drzew.

W mieście ściga różnobarwne tłumy na odpusty gotycka fara z XIV wieku, dumna z posiadania romańskiej kropielnicy i słynącego cudami obrazu M. Boskiej Bolesnej. Renesansowy, czworoboczny ratusz zachwyca oczy uśmiechem pogodnego piękna.

Wśród miłej estetyki dzisiejszego miasta myśli się z sentymentem i dumą o okropnościach, które przeszły przez Chełmno, o napadach dzikich Prusów, o krwawym panowaniu Krzyżaków, którzy na przeciąg osiemdziesięciu lat z górą uczynili z tego miasta stolicę swego rozbójniczego państwa i o wielu innych ciężkich przejściach. Dziś śpiewa tu wolność, kipi praca, porywa przyszłość barwna, mocna,

twórcza, zagrożana i pobudzana nieustannie cieniem niedalekiej pruskiej granicy.

Na przeciwległym brzegu Wisły, niedaleko za Chełmnem, obrazek jakby z innej bajki. Świecie.

Niemal na poziomie wody, niziutko tuż przy Wiśle czerwienią się ruiny zamku. W środku poszczerbionych murów wyciąga się pięść okrzętej baszty. Niedaleko od tego dziwaczne- go upiora krzyżackiego panowania stoi wśród pól jakiś opuszczony a piękny kościół, otoczony resztkami murów.

Obydwie stare budowle stoją jak pustelnicy, zdala od miasta, oddane Wiśle na pastwę, sąsiadując jeno z łąkami zbóż i sadami. Łatwo sobie wyobrazić, że w czasie powodzi, kiedy Wisła rzuca na te niskie pola masy wód, zamek i kościół zamieniają się w czerwone, samotne wyspy.

Skąd wzięły się te budowle? Kto je tu sta- wiał i dla kogo? Czy jakiś srogi kataklizm zburzył miasto, pochłoniął domy mieszkalne, rozszarpał ulice i place, a jako świadki zosta- wił jeno ten kościół i zamek?

Patrzysz w górę. W pobliżu, na krawędzi gór „Czarcich” uśmiecha się ładne miasto, nowe, wystrojone w kościoły, duże budynki, licz- ne kominy fabryk. Idź zasięgnąć języka o lo- sie znikniętego miasta. Tam znajdziesz rychło rozwiązanie zagadki.

Pierwotna osada rozlokowała się na wyniośłości, sterczącej ponad Czarną Wodą. Zamek, przez ks. Świętopełka wystawiony, bronił osiedla. Kiedy następnie Świecie zajęli Krzyżacy, wystawili nowe, potężne zamczysko tuż obok, na nizinie, a potem, aby miasto nie pozostało bez obrony, rozkazali mieszkańcom jego przenieść się z dobytkiem ruchomym i nieruchomym na niskie miejsce obok zamku.

Czterdzieści lat trwała niezwykła wędrówka miasta z góry na dół. Wreszcie Świecie znalazło się w całości na zabagnionej nizinie. W ciągu wielu wieków walczyli mieszkańcy z naporem fal wiślanych z mniej lub więcej pomyślnym rezultatem. Aż przyszedł rok tysięczny osiemsetny pięćdziesiąty piąty. Wisła rzuciła niezwykle duże masy wód na Świecie. Ulice jego zmieniły się w głębokie kanały. Dachy domów, których nie uniosła ze sobą rozszalała rzeka, sterczały bezradnie nad wzburzonymi falami.

Dość było mieszkańcom niskiego Świecia nierównej walki z Wisłą. Zaczęła się powrotna wędrówka miasta na wzgórze. Po czterech latach przeprowadzka została dokonana. Świecie znalazło się z powrotem na wyniośłości. Miejsce opuszczonego miasta zaorali właściciele, obsiali lub obsadzili drzewami. Pozostały na dole tylko kościół i ruiny zamku, opo-

wiadając o dziwnych przeżyciach wędrującego miasta.

Dwadzieścia trzy kilometry dalej Grudziądz.

Dobra ilustracja panowania dwóch bezwzględnych najeźdźców germańskich nad starodawnym polskim grodem. Na najwyższej górze Zamkowej pyszni się wieża krzyżackiego zamku w kształcie potężnego walca dwudziestometrowej wysokości. Zowią ją Klimkiem. Dzisiaj stoi samotnie i niewinnie, urozmaicając krajobraz okrągłą czerwienią wśród zieleni młodych drzew. Nietrudno jednak odtworzyć sobie obraz okresu, gdy srogi zamek ciążył jak zmora nad całym miastem. Gdy deptał — zdawało się — potężną, czworoboczną wieżę gotyckiej fary z XIII wieku, górującą nad nawpół ślepyimi ścianami śpichrzów, schodzącymi tarasowato aż do Wisły.

Ruiny krzyżackiego zamczyska rozebrał na swoje potrzeby drugi zaborca tych ziem. Fryderyk II postanowił uczynić z pięknego miasta symbol wiecznego panowania Prus nad dolną Wisłą. Użyto ogromnej ilości cegły i kamienia, aby Grudziądz wpieść w kleszcze niezdobytej twierdzy. Wyrosła forteca, ciężka i krwawa jak pruska łapa. Płonie po dziś dzień na grzbiecie wysokiego brzegu trzykilotrowym, ceglanyim płomieniem aż do miasta, niżej położonego.

To była zewnętrzna strona germańskiego

władania. Aby oczyścić miasto z polskości od wnętrza, sprowadzono tłumy Niemców. Fortecę obsadziły masy pruskiego wojska. Miasto straciło charakter polski.

Lecz, kiedy przyszło wyzwolenie, wkroczył wraz z polską wolnością polski duch do staropolskiego grodu. Długie mury, gniotące niedawno jeszcze miasto naporem przemocy militarnej, straszą dziś chyba dzieci, jak długi, zatruty język wypędzanego smoka. Grudziądz żyje życiem polskim, bujnie rozrasta się wśród ciężkich ruin, sieje wiarę w sprawiedliwość na cmentarzysku zła i przemocy.

A potem siedemnaście kilometrów drogi wodnej wzdłuż stromego niby wał obronny lewego brzegu i znowu miasto starożytne, słowiańskie. Założone przez Sambora Pomorskiego, uległo także inwazji krzyżactwa i dotąd nad tłumem budynków panoszy się krzyżacko-niemiecka warownia. Resztki jej murów z kilkunastoma wieżami górują nad mrowiem potulnych, ceglasto-czerwonych domków, oraz nad bujną zielenią drzew, krzewów i traw. W XIX wieku zamieniono ją na wozownię. Potężnym ruinom urąga stary, gotycki kościół farny z XIV wieku — po dziś dzień przedmiot czci mieszkańców.

To Nowe.

Dalej Gniew.

Nigdzie dotąd zamek krzyżacki nie rzucał

się w oczy z taką natrętną siłą, jak w tym niedużym mieście. Przerasta stanowczo wszystkie budowle, stawiane w Gniewie w ciągu wielu setek lat.

Bo też Gniew był okiem w głowie krzyżactwa. Przyczepili się zakonni rycerze jak pająki do tej pierwszej swojej posiadłości na lewym brzegu Wisły. Przyczepili się murami i basztami potężnej warowni, nad którą postawili komtura, dodając mu zbrojny konwent.

Ilu walk krwawych był ten skrawek ziemi widownią! W pamiętnym 1410 roku zwycięski Jagiełło zajmuje Gniew, ale w cztery lata później wdzierają się doń znowu Krzyżacy. W 1454 roku wchodzi gród wraz z wielu innymi pruskimi miastami w konspiracyjny związek, oddając się dobrowolnie pod opiekę Polski. Ale rycerze krzyżowi przy pomocy dzikiego terroru utrzymują miasto w swoim posiadaniu, a wojska polskie napróżno atakują w dwa lata później jego fortyfikacje. W ciągu dwóch miesięcy roku następnego oblęgają Gniew znowu bezskutecznie armie polsko-gdańskie. Dopiero w sześć lat po niefortunnym oblężeniu wojska polskie, otoczywszy miasto ze wszech stron, zmuszają je do poddania, a wielki mistrz zakonu ledwie uchodzi z życiem.

Zdawało się teraz, że znękanе miasto nareszcie odetchnie trwałym spokojem. Zakon

krzyżacki złamany, cofnął się na prawy brzeg Wisły. Ale przychodzi okres nowych zalewów. Lawina szwedzka pod Gustawem Adolfem porwała po drodze i Gniew. Odebrane wkrótce potem miasto traci znowu Polska w czasie następnego szwedzkiego potopu.

I na tym nie koniec. W sto lat zgórą po szwedzkich przeprawach musi przyjąć Gniew jarzmo pruskie. Krótco trwa chwila radosna, gdy w 1806 roku generał Dąbrowski podniósł rękę zbrojną przeciw Prusakom i w Gniewie założył główny obóz. Dalsza niewola kończy się dopiero po wojnie światowej.

Takie męki cierpiał z rąk germańskich najeźdźców ostatni stary gród nadwiślański na północo-zachodzie Polski. Podobne udręki znosiło całe polskie Pomorze.

Żuławy. Ciało, wyrwane z piersi polskich. Najmłodsze dziecko ziem nadwiślańskich.

Serce rozdziera żal, policzki pali wstyd. Tłusty muł wiślany, zniesiony z ziem polskich, rodzi soczystą trawę dla najeźdźców. Liczne stada bydła podają dla użytku obcych właścicieli mleko polskiej gleby.

Wysiadam niechętnie na brzeg. Wita mnie niemiecka mowa, obejmuje podejrzliwie obce spojrzenie. Płynę dalej wśród niskich, so-

czystych pastwisk, pragnąc znaleźć się jak najprędzej tam, w Gdyni, na polskim wybrzeżu.

Od Gdyni dzieli mnie tylko kawał morza. Już pojawiły się duże mewy morskie, już kręca się coraz większe stada dzikich kaczek. W Tczewie przenoszę się na statek pasażerski „Carmen”, kierujący się ku Gdyni.

Słychać daleki szum morza. Pas zielonkawo-błękitny na horyzoncie. Ciągnie ku sobie ta wstęga wody, majacząca prosto przede mną na północy. Statek skręca na lewo. Wkrótce wbijamy się w wąski kanał. To Wisła „martwa”, chwycona w kamienne mury.

Postój. Punkt celny. Niemiec w zgniło-zielonym mundurze załatwia formalności. Polska Wisła wydaje się obcą, niezyczliwą. Smutny kres wędrówki wiślanej. Ciało polskie — głowa niemiecka.

Otwierają się ciężkie wrota śluzy jednej, drugiej. Wypływamy na szerszą wodę. Stara Wisła, po której piersi dążymy ku morzu, dostaje barwę inną, zielonkawą, odmętnioną. Jest jakby spokojniejsza, bardziej skondensowana. Barwa morza. — Tutaj dochodzi prawdziwe morze!

Płyniemy wśród szpalerów pali, wbitych w dno. Droga wydaje się długa, — droga napęczniona wzruszeniem.

Bonsack — miejscowość położona po pra-

wej stronie, malowniczo odbija na tle mocnej zieleni. Na lewo ujście Motławy — wjazd do Gdańska. Niżej Nowy Port. Słychać coraz głośniejszy szum morza. W powietrzu wnika zapach jodu.

Nareszcie otwiera się bezbrzeżna przestrzeń wody, żyjąca powierzchnia, nabrzmiała ruchomymi wzgórzami.

Morze! — Serce wali radosnym uwielbieniem, natchnionym pozdrowieniem. Pozdrowieniem wielkości i piękna.

XII.

Niebo jest bezchmurne. Ale zatoka okazuje wzburzenie i podniecenie.

Dmie silny, północno-wschodni wiatr.

Obserwuję z miłosnym podziwem wzajemną pieszczotę dwu najbliższych duszy mej żywiołów: atmosfery i morza. Dwuch najbardziej czystych i najmniej interesownych przyjaciół wszelkiego żyjącego stworzenia na globie. Wszędzie dotrą, wszystko ogarną. Dwaj najwięksi czarodzieje kuli ziemskiej, budzący dotknięciem nawet skały do życia.

Patrzę. Niewidzialnymi ramiony wichrów podejmuje atmosfera masy wodne ku sobie, podnosi miliony fal w górę, kołysze je, stara się pognać tam, na ląd, na który morze ma

dostęp jedynie przez senne marzenia chmur, przez metempsychozę w deszcze, śniegi czy grady. Cała powierzchnia morza nabrała życia, rozpędu, szaleje, huczy, bryzga snopami kropel, skrzy się, igra, grozi, nienawidzi, kocha...

Na falach statek nasz huśta się coraz gwałtowniej. Morze jest śliczne, powietrze przeczyste. Zda się, że oprócz pieszczoty i piękna nic się tu nie urodzi. A przecież w tłumie uczuć, przechodzącym przez dusze człowiecze, znajdujące się na statku, idą obok rozkoszy trwoga przed śmiercią, przygniatająca groza, mrożąca obcość...

Poszumy wichru, bryzgające raz po raz na statek odpryski fal, a nade wszystko groźny widok morskiej otchłani spędziły z pokładu lwiał część pasażerów. Groza potęgi żywiołów nie oszczędziła także grona abiturientek z Torunia, pełnych zapału właścicielek świadectw dojrzałości, które wybrały się na zdobywanie morza. Raz po raz gwałtowny strach ściska którąś za serce, wypija krew z twarzy, wypycha z worka żołądkowego treść, nagromadzoną dla podniesienia energii. Im nie trzeba w tej chwili siły, morza, piękna. Podają się na ślepo bezsile, padają w objęcia słabości, błagają niemoc o ochronę przed strasznymi potęgami. Jedynie trzy dzielne dziewczuszki nie poddały się ucieczce przed wielkością. Stoją na rozhuśtanym końcu dzioba. Zdarły z głów czapki,

fale włosów oddały wichrom na pieszczotę. Oczy błyszczą radością i dumą, dusze rozrastają się błyskawicznie. Odbryzgi fal przyjmują bojowym śmiechem, pieśń staje się wyzwaniem.

Z małych, rozśpiewanych ptaszków lądowych wyrosły nagle orlątka. Morze wyzwoliło w nich dostojne moce, o jakich jeno marzyło im się tam, na nieruchomych lądach, — bo morze rozszerza horyzont wrażeń z zawrotną szybkością.

Rozumiem was, raduję się z wami, zachwyecam się morzem zbałwanionym — kartą cudownej powieści p. t. „Jak poznać wielkość Boga?”

Rozumiem i tamte dusze w ciałach o twarzach pobladłych, o postaciach powiędłych, — dusze w zetknięciu z morzem zrezygnowane, bolesne.

Pamiętam, gdy po raz pierwszy znalazłem się na rozkołysanej toni. Łódź, kopana falami, ocieężała, głupia, głucha, nieposłuszna jak osioł, nie chciała słuchać poruszeń moich wiosel. Wicher paraliżował wszelkie wysiłki moich mięśni. Strach przyszedł na mnie od morskiego olbrzyma. Fale wyciągały się ku mnie jak ruchome mogiły. Każda pragnęła pochłonać na wieki. Wielkość morza i złowroga siła rozpedzonego powietrza wyciągnęły przed oczy na powierzchnię duszy całą moją zniko-

mość. Pochwyciła mnie choroba morska, po-
dła, rzygająca na cud. Srebrzysto-białe mewy
zdały się upiornymi posłańcami piekieł, czy-
hającymi teraz na wydzieliny mojego żołądka,
a potem na mego trupa.

Gdy minął obłęd choroby, spojrzałem na
siebie jak na ropuchę, plującą na słońce. Nie-
nawidziłem morze, ryczące, potworne — i nie-
nawidziłem siebie, swoją nikczemną karło-
wość. Szukałem ulgi w zapomnieniu o paszczy
płynnej, słonej, wiecznie gotowej, aby człowie-
ka pochłonać. Składałem lądowi stałemu z dzi-
ką satysfakcją przysięgę na wierność, — lą-
dowi, cudownemu ciszą, twardością skorupy,
zastygłym trwaniem. Po którym można z bez-
pieczeństwem raczkować. Który nie rozstąpi
się pod żyjącym, ale czeka cierpliwie, aż pa-
dnie trup bezduszny, gotów do rozkładu.

Stan nienawiści ku morzu trwał krótko. Z du-
szy rwał się podziw dla ludzi, którzy spędza-
ją całe lata na morzu, błogosławiąc je w cza-
sie pogody i burzy.

Stojąc godzinami na brzegu morskim, uczy-
łem się wielkości tego świata. Głębie duszy
podawały ręce głębiom morskim. Aż ciało do-
rosło do zadania nosiciela nieśmiertelnej du-
szy.

Dziś... Hej! Sercem, myślami, pragnieniami
i całym ciałem wielbię morze. I wiem to do-

brze, że niema nic większego i piękniejszego
na naszym globie.

Idę wzdłuż brzegu morskiego, na krawędzi
dwóch wrogich potęg. Stopy grzęzną w mię-
kim piachu — rozkruszonej miazdze skał.
Wśród piachu pełno muszli i drobnych skor-
piaków, groźnych niby, a całkiem bezbron-
nych.

Wszędy tu pełno trupów. Znalazłem się na
froncie wojennym, największym i najgroźniej-
szym z frontów bojowych naszej planety.

Wojna trwa tutaj wiecznie. Trwa w dzień
i w nocy. Trwa, gdy nad globem lśni błękitny
sztandar, opromieniony słońcem. Trwa, gdy
sztandar ten staje się ciemno-granatowy, wy-
szyty złotem gwiazd i srebrem księżyca. Trwa,
gdy nad frontem powiewają szare płachty
chmur, wyniesione przez słońce z wód mor-
skich.

Wojna trwa wiecznie i nieubłaganie.

Jakże piękna i twórcza jest ta wielka walka!

Siadam na piachu, zanurzam w nim ręce jak
w skarbcu, pełnym cudownych perełek. Kładę
się na krawędzi morza. Fale pieszczą życzliwie
moje ciało, piaski i wszystko, czego dotkną.
Grają przy tym muzykę łagodną, nieustanną,
najcudniejszą muzykę miłości. Zda się, że tu-

taj, na brzegu, rozgrywa się najpiękniejszy, najczulszy romans lądu z morzem.

A przecież piaski i żwiry sypią się za każdym ustąpieniem fali do morza, a potem fala pędzi je z powrotem na brzegi. Kruszą się brzegi w tym dziwnym młynie, mielącym lądy. Śmiertelna jest morska pieszczota.

Biorę do ręki muszlę. — Kto pomyśli o srogiej śmierci, patrząc na wdzięcznie pokrytą wstęgami rzeźbę?

Komu wśliźnie się do głowy myśl o gniciu, gdy znajdzie na brzegu bursztyny? Bursztyny — te łyzy umarłych sosen, łyzy przedziwne, łyzy — klejnoty, noszone na szyjach, — te wspomnienia po wielkich szpilkowych lasach, rozsypane po dnie morskim i pośród złocistych piasków wybrzeża?

Leżą kraby, tuli piasek trupa brzydkiej ryby. Z takich trupów wyrosły na dnie mórz pokłady. Wyniesione nad wody, stworzyły lądy, umajone przez słońce i powietrze nowym życiem.

Morze umie rozkołysać wyobraźnię. Szczególnie tutaj, na brzegu, gdzie wiecznie szumi, podpowiada coś, żąda, wyznaje... Łatwo i plastycznie widzi rozkołysana morzem wyobraźnia nie tylko walkę, ale wielką genezę lądów, objawienie pierwszego życia na ziemi.

I równie łatwo czyta przyszłość kontynentów, tonących kawałami w morzu, burzonych

we dnie i w nocy przez wojska niezliczonych kropel.

Na brzegu morza pisany jest najrozleglejszy poemat o przyszłości, teraźniejszości i przeszłości naszego ziemskiego świata.

Poemat to także najcudowniejszy. Styl jego jest wytworny, miękki i twardy, miły i straszny, sielankowy i tragiczny. A wszystko jest w nim piękne. Śmierć jest czysta, otchłań nęci barwami szczęścia. Sroga burza wypowiada myśli cudnie srebrnymi grzywami ruchomych wzgórz. Ryczące morze daje obraz hypnotyzującego czarem wspaniałości piekła.

A cisza? Ta niespokojna, lekko drżąca, aksamitna, głęboka, myśląca cisza morska. Czyż nie rodzi natchnionego obrazu wieczystego raju?

Niema dziedzin w państwie ludzkiej duszy, którychby poemat morza nie poruszył, nie powiększył, nie uszlachetnił — lub nie potępił. Jak człowiek wyłania z morza cenne koraliki i perły, każąc im rozblysnąć w blaskach słońca, tak morze wyławia z głębin ludzkich najwartościowsze cnoty: odwagę, siłę, niezłomność, wolę — i każe podziwiać je otwartym oczom serc ludzkich.

O, morze! Wierzę, że ktokolwiek przeczytał uważnie twoje pismo natchnione, wyrzuci z swoich piersi tchórzostwo, małoduszność, samolubstwo, prywatę... I wierzę, że cała Pol-

ska, pogrążona przez wieki w ciasnej sielance i przygniatającym tragiźmie lądu, otworzy oczy duszy na wielki i piękny świat, gdy spojrzy nań przez teleskop morskich wód.

— — — — —

Dużo jest pięknych kościołów na świecie. Ułatwiają modlitwy, dają możliwość oczyszczania dusz z małości i grzechu, otaczają aureolą świętości.

Morze jest kościołem najwspanialszym. Tutaj dusza modli się wprost ku niebu wraz z wszystkim dokoła, co jest na ziemi, — bo to jest wielkość i jedność.

Morze jest konfesjonałem najskuteczniejszym. Przez burze, grożące zagładą, nakłania do skruchy, wywołuje przyrzeczenia poprawy. Przez cisze wielkie, jak ziemia i niebo zmusza człowieka do zapatrzenia się w siebie, do wyznań i tęsknoty ku Wszechstwórcy.

Morze najświęciej odprawia sakrament komunii. Co dzień podnosi Przyroda — najwznioślejszy kapłan Boga — z kryształowego kielicha morza promienną monstrancję na wschodzie, rzucając ziemskiemu światu oczyszczenie od grzechu nocy.

W obliczu morza odbywa dusza ludzka najcudowniejszy sakrament małżeństwa. Ślubuje wspólne, wieczne współżycie z wszystki-

mi narodami świata, oddaje siebie całej ludzkości.

Morze jest największą chrzcielnicą kuli ziemskiej. Dusza, skąpana w jego przeczystej potędze, wyzbywa się diabła niskich żądz, przekazanych nam przez liczne pokolenia dzieci kontynentu.

Z ambony Kosmosu idą kazania o wielkości Stwórcy nieba i ziemi, o miłości wszechobejmującej, o potrzebie wielkości, o konieczności posiadania wysokich cnót doskonałego człowieka.

Doprawdy, niema na globie kościoła podnioślejszego nad morze. A głos rybaków kaszubskich brzmi jak wielkie słowa ewangelii: „Jeśli się kto modlić nie umie, naucz się, niech tylko w morskim będzie szumie.” Albo: „Żeglarz i gospodarz najszczerzej się Bogu modlą.”

Wielka jest ilość dobrych szkół na globie. Morze jest jednak szkołą najdoskonalszą. Bóg pełni otwarcie i bezpośrednio rolę dyrektora uczelni i kierownika wychowawców. Dary Boże są wychowawcami i nauczycielami.

Jaka szkoła uczy tak poglądowo praktycznej wszechmiłości ludów, braterstwa, jedności, jak morze — wspólny uścisk lądów, morze

— bezinteresowny pośrednik, usłużny karłomocarz, wyrozumiały nosiciel okrętów dobroczynnych i okrętów, zakutych w pancerze, naszronzonych armatami drapieżców wojennych? Jakaż szkoła wyrabia tak silne charaktery, zdolne do poświęceń dla gromady, dostojnie spokojne w obliczu śmierci, pogodne i poważne, marsowe i łagodne, pracowite i beztrojskie, jak morze, świecące najwyższym przykładem?

Jaka szkoła umie tak pobudzać twórczą ciekawość, dawać pole do natchnień, zmuszać do samodzielności, wzruszać, podniecać, zapalać, jak morze, najgenialniejszy dekorator?

Głębinę morską nęca czarodziejskim światem. Dostęp do niego wiedzie poprzez śmiertelne zmagania, poprzez mroki i ciemność, przez niebezpieczeństwa i cudy.

„Kto na morzu nie bywał, ten dziwów nie widział” — mówią żeglarze. Dobry i pojętny wychowanek morza musi uznać mądrość tego największego mędrca globu.

Ono lądy uszlachetnia, łagodzi surowe barbarzyństwo i niemrawe lenistwo kontynentu.

A nade wszystko nie dopuszcza do niskiej perfidii w codziennej walce o byt. Morze daje pokarm nie przez drogę cuchnącego nawozu, bezpiecznej orki, wygodnej siejby, sielankowych żniw. Nie przez drogę mordowania wyhodowanych własną ręką roślin, przez drogę

młocki — walenia drągami cepów po główkach złocistych kłosów.

Morze daje pokarm nie przez zmuszanie człowieka do grzechu tuczenia wieprzów po mrocznych chlewkach, wstrętnych i cuchnących, hodowania ludzką ręką krów mlekodajnych, pocziwych roboczych wołów, cierpliwych owiec, pozbawionego lotu ptactwa, — istot, mordowanych w sposób potworny ludzką ręką.

Ląd, ucząc serca, dobroci, pomnażania życia — deprawuje serce.

Morze, samo rodzące mięso istot, nadaje im piętno obcości wobec człowieka, czyni ich los obojętnym ludzkiemu sercu. O mięso to sięgać pozwala tylko pracą odważną, niebezpieczną, przeciwstawiając zdobywcom głębie, noce, burze...

Morze — wielki esteta, najdoskonalszy artysta.

Genialne preludium do opery p. t. „Nieskończoność”.

Morze — rozfalowana muzyka oczom, uszom, całej duszy.

Miłość ku morzu jest najbardziej precyzyjnym sprawdzianem głębi duszy człowieczej.

XIII.

„10 Lutego 1920 r.” Warto, by każde dziecko polskie na pierwszej stronie podręcznika patriotyzmu zapisało tę datę. Aby uznało, że to był dzień wskrzeszenia wielkości Polski. Że data zaślubin Polski z morzem jest wezwaniem dla każdego Polaka do zdobywania własnej i narodu swego potęgi. Do zdobywania od podstaw.

Albowiem przeszłość nie wpoila niestety w naszą krew umiłowania morza. Zlekceważył polski naród wysiłki szeregu rozumnych mężów, ciągnących państwo polskie ku morzu.

Nie pomogły wysiłki królewskiego orszaku, rozumiejącego znaczenie dostępu do morza: Bolesława Chrobrego, Krzywoustego, Zygmunta Augusta, Stefana Batorego, Władysława IV...

Utonęły w piachu powszechnej bierności ożywcze krople mądrych nawoływań Dunin-Wąsowicza, Karnkowskiego, Solikowskiego, Koniecpolskiego, Dobrowolskiego i niewielu innych apostołów ważności morza.

Zapadły się w otchłań wodną, nie wstrząsnąwszy sumieniem narodu lądowych szczurów, polskie statki kaperskie, — postrach kontrabandzistów Europy zachodniej.

Bojaźń narodu przed morzem pada cieniem

na mózgi kierowników nie „nawy”, a „pług” państwowego.

Sprowadzony przez Konrada z dalekich łądów pająk krzyżacki rozpina bezkarnie zdradzieckie sieci nie tylko przy ujściu Wisły. Sięga zdobywczo na cały dostęp Polski do morza. Rozłożony na głowie państwa polskiego, wypija jego soki żywotne, nie dopuszczając do rozrostu żywego organizmu poza niemowlęce powijaki, ciągnąc przy pomocy arterii Wisły siły żywotne i skarby narodu. Szydzi obcy pająk z polskiego dziecka o zbyt rozrośniętym sercu, o nogach, ściśniętych w dyby gór, o rękach, zgniecionych przez dwóch brutalnych siłaczy-sąsiadów, o mózgu wypijanym przez obcą siłę, o oczach pogrążonych w cieniu Gdańska i Malbarga.

Na tle współczesnego rozmachu Gdyni widzi się tym wyraźniej przerażającą rudere dawnych polskich poczynań na morzu. W ciągu setek lat pozwalał wielki naród szaleć obcemu żywiołowi na swojej głowie. Co więcej, w dziwnym zaślepieniu sam pomagał niejednokrotnie rozrostowi wrogiej potęgi. Zniemczony Gdańsk otrzymuje od Kazimierza Jagiellończyka „Wielki przywilej” w momencie, gdy Polska po wielu walkach mogła być zebrać nareszcie owoce zwycięstwa nad krzyżactwem. Smutnej pamięci wspaniały hołd pruski stał się imponującym początkiem klę-

ski polskości nad Bałtykiem. Wielki, przenikliwy król Batory po upokorzeniu krnąbrnego Gdańska przywraca temu niezmordowanemu wichrzycielowi, serdecznemu przyjacielowi wrogów polskości, niedawnemu mordercy polskich Kaprów i polskiego admirała Munkenbeka „Wielki przywilej” — prawo kierowania żeglugą na całym polskim wybrzeżu, a nawet zrzeka się na przyszłość tworzenia floty kaperskiej.

Nie dość na tym. Zygmunt Waza, zasobny w świetne zwycięstwo swojej floty nad eskadrą szwedzką pod Oliwą, marnuje polskie okręty dla austriackiej wygody, a potem bezsilnie patrzy, jak wojska szwedzkie lądują na brzegach polskich, by zalać kraj cały potopem.

Nawet Władysław IV, gorliwy propagator idei morskiej, twórca Władysławowa i Kazimierzowa oraz floty wojennej, zniechęca się po pewnych niepowodzeniach do morza. Po nim odsuwają się od Bałtyku wszyscy jego następcy.

Pozbawiony oddechu, naród polski skurczył się i uduślił.

Nie mogę patrzeć na Gdynię bez fali wzruszenia. Bez uczucia ojcowskiego, w którym dźwięczy nuta radości i troski, miłości i du-

my, podziwu i chęci powiększania siły, urody i wielkości najlepszego dziecięcia odrodzonej Polski.

Pamiętam Gdynię, kiedy całym jej bogactwem była grupa chat rybackich, skromnych, cichych i ubogich. Treść jej żywota obracała się wtedy dokoła nakarmienia kilkudziesięciu kaszubskich rodzin. Dokoła chałup ścieliły się nędzne pólka, zarośnięte mizerną trawą, zło-ciły się płaty jałowych piasków, przebłyski-wały szkliwem bagienne, ciemne torfowiska, wychylały nieśmiałe korony nad poziom nie-liczne drzewa.

Pamiętam, jak lat temu kilkanaście wędro-wałem od chaty do chaty, aby tutaj, u rybaków nadmorskich kupić węgorza, flądrę czy jaką-kolwiek inną morską rybę. Nie było ryb. Gdańsk wykupywał wszystkie ich zapasy za niewielką opłatą. Morze i ziemia dawały tym nielicznym rybakom ledwo jaką taką wegeta-cję.

A w parę lat potem... Pamiętam Gdynię, gdy oczy narodu polskiego zwracać się zaczęły ku północy. Gdy powiał od lądu wiatr zrozumie-nia dla ważności morza.

Pojawiła się pierwsza awangarda pracowni-ków, jakich Polska od czasów Władysława IV nad morze nie wysyłała. Przybyli do Gdyni pionierzy połączenia Polski z morzem. W skupieniu rozpoczęli dzieło o przełomowym

znaczeniu. Wydawali się niedorzeczni i śmieszni w obliczu zadania, które podejmowali się wykonać. Niedorzeczni i śmieszni jak garstka pierwszych legionistów, maszerująca na walkę z najpotężniejszym państwem Europy.

A jednak... Za pierwszą gromadą pionierów przyszła druga, trzecia, dziesiąta. W kilka lat wyrosła duża armia pracowników, zbrojna w przeróżne narzędzia i coraz doskonalsze maszyny.

Rodziły się, rzeźbione w lądzie, szerokie i głębokie baseny. Ląd, posłuszny ludzkiej woli, oddawał morzu kawały swego ciała na salony przyjęć dla statków. Pracowite dragi wpijały się w dno zatoki, wysysając masy piasku, aby utorować głęboką drogę z portu na otwarte morze. Wyrastały z dna wód smukłe, mocne mola, zakwitały przy nich latarnie morskie. Nabrzeża pokrywały się machinami, magazynami, gmachami, wypełnionymi nieprzeliczoną ilością bogactw, zwożonych z całej Polski i z całego świata.

Wśród gorączkowej pracy nie każdy zauważył, jak znikwały z powierzchni ziemi stare zagrody rybackie. Na miejscu niektórych chat dawnej Gdyni kołyszą się dziś okręty, pracują maszyny, stoją monumentalne gmachy.

Rosła Gdynia, wylaniała się w natchnionym tempie — najpiękniejsza zbiorowa improwizacja, jaką stworzył polski naród. Iścił się cud.

Port rozrastał się z dnia na dzień, z minuty na minutę. Przerwa świąteczna zdawała się grzechem. Wola całego narodu skupiała się tutaj.

Naród wołał: „Oddechu! Duszą mnie granice lądowe. Na nich czyhają wyzysk i zła wola obcych państw. Nie będziemy niewolnikami sąsiadów! Szerzej otwierajże nam wrota na świat, polska Gdynio!”

Wołały o polski port kopalnie, przepełnione węglem kamienym i innymi bogactwami, zarojone ludem, spragnionym pracy i znośnej węgetacji.

Wołały osiedla i miasta przemysłowo-handlowe, duszące się nadmiarem fabrykatów, żądne taniego surowca.

Głos szedł od zagród włościańskich, mających na zbycie ziarno, zwierzęta domowe, a łaknących nieco grosza na zakup najpotrzebniejszych artykułów.

Głos szedł z gór, porośłych pierwotnymi puszciami, duszącymi się od nadmiaru drzewa, — z bogatego w naftę i sole Podkarpacia...

Wołała cała Polska.

I stało się.

Idą dziś pociągi za pociągami, brzemienne w towary z głębin kraju. Gdynia rzuca je daleko w różne krainy świata. A znowuż statki, załadowane produktami dalekich państw i kolonij, dopraszają się wejścia do portu.

Gdynia pracuje w pocie czoła, daleka od

kryzysu, bezrobocia, daleka od uwiadu star-
czego, który dotknął wiele sławnych portów
świata.

Z żywą radością zanurzam się w objęcia
portu. Basen Prezydenta, Południowy...

Nabrzeża: Śląskie, Szwedzkie, Duńskie, Ho-
lenderskie, Francuskie, Polskie, Rotterdam-
skie...

Najwspanialsze hale targowe Polski. Każda
praca na miarę olbrzymów. Zamiast rąk prze-
kupki czy też węglarza, wydzielającego towar
na kilogramy, wpadają na węgiel chwytacze,
ogromne jak wozy, wpijają się w masy czar-
nych okruchów, wygarniają odrazu tysiące
kilogramów, aby je oddać po kilku sekundach
w ręce kupca-okrętu. Zamiast wózków, prze-
wożących z miejsca na miejsce odrobiny kil-
kudziesięciu kilogramów, pracują dźwigi ele-
ktryczne, podnoszące wielotonowe skrzynie
z wnętrza okrętu i przenoszące je jak piórko
do wagonu i na molo.

W pracy pograżył się istny las olbrzymich
machin. Cały naród skondensował siły, aby
stworzyć dla swoich usług istoty potworne —
niewolników z żelaza, poruszanych krwią
elektryczną.

Nie mogę ominąć żadnego z dźwigów, aby

nim oczu nie podrażnić, aby ich karykaturalną, ale silną, imponującą urodą nie zmusić przesubtelnionej duszy do czci dla nowych form twórczości człowieka. Zżywam się z dziwnymi kształtami, zauważam coraz dokładniej różnice w budowie różnych członów.

Oto potwór o prostokątnym kadłubie z niezmiernie długą szyją. Wychodzą z niej cienkie macki, uzbrojone u naroży w straszliwe głowy, zaopatrzone w szczypce. Potwór raz po raz opuszcza macki ku otworowi wagonu, rozchyła szczypce, wgryza się z pasją w czarne diamenty. Napelniwszy jamę, zamyka szczypce, podnosi szyję, wykręca się ku otworowi okrętu i tam wypłuka zdobycz.

Takim jest na przykład potwór-niewolnik huty „Zgoda”, zdolny porwać od razu siedem i pół tysiąca kilogramów węgla. Podobni do niego są niewolnicy „Progress” i wielu innych przedsiębiorstw.

Są wśród żelaznej armii pracy osobniki nieco słabsze, są i mocniejsze. Oto jeden z nich chwytą cały wagon od razu — wywrotnica, królowa potworów.

Kształty dziwnych olbrzymów są także różne. Są o szyjach sztywnych, prostokątnych, to znów zwężających się ku górze. Niektóre giganty zamiast paszczy, uzbrojonej szczypcami, używają do chwytania towaru języków skórzanych lub sznurowych, zwiniętych w pęt-

lice. Inne znowu wykonywują pracę przy pomocy żelaznych ramion, zakrzywionych w haki. Jeszcze inne ssawkami wypijają pokarm.

Także rozmiary potwornych niewolników bywają różne. Jedne wznoszą się wysoko ku górze i wydłużają poziomo ciała daleko jak mosty. Inne rzucają się ogromnymi łukami, podobne do dużych bram, osadzonych z obu stron na mocnych nogach.

Wszystkie żyją, poruszają się, spełniają nieustannie wyznaczone przez człowieka prace.

A gdzie ten człowiek?

Siedzi malutki, niewidoczny niemal w żelaznych wnętrznościach potwora.

Warto zamyślić się nad oglądanym właśnie fragmentem ludzkiego postępu.

Słaby, mizerny człowiek kieruje stalowym kolosem. Jest stwórcą jego, panem i — duszą. Iskra mózgu, widzialna w genialnych czynach, wyłoniła z martwego, opornego kruszcu, zalegającego bezsilnie wewnątrz skorupy ziemskiej, wspaniałe, pożyteczne istoty. Gdzie kres możliwości? Dzisiaj jest Gdynia — a za lat tysiąc? Czy słońce, siewca światła, a za nim inne gwiazdy i niewidzialne siły kosmiczne nie pójdą na służbę dziwnej iskry mózgu ludzkiego? Może podobną iskrą, najdoskonalszą, jest właśnie — Bóg? Może On, niewidzialny, a wszechobecny, porusza maszynę wszechświata? On, który jest duszą i sercem

i wszystkim żywym niezmiernego Kosmosu?

A teraz fragment jakby z „Genezis” Gdyni.

Buduje się właśnie nowe nabrzeże. Wzdłuż brzegu stawia się dziwne domy, przeznaczone na ofiary dla morza. Domy prostokątne, żelazo-betonowe, piętrowe, pozbawione okien, drzwi, dachu, kominów... W każdym brak po jednej ścianie.

Kesony — skrzynie, które zatapia się w morzu, aby z nich urodziły się nabrzeża, mola, falochrony.

W tej chwili odbywa się akt ofiary. Ogromną drogą czerpakową przystawiono do miejsca egzekucji. Draga ssie gwałtownie piasek, ratujący dom przed wodą, — wypija kawał lądu po kawale.

Ciężka skrzynia żelazo-betonowa traci zwolna podstawę, zanurza się w wodę coraz głębiej, aż nareszcie toń wodna chwytą ją na barki i unosi jak lekkie pudełko.

Już zobaczył ofiarę krzepki, mocny, a ruchliwy holownik. Podpływa, zarzuca na nią linę i ciągnie ku miejscu przeznaczenia.

Na pobliskim, będącym w budowie nabrzeżu, rozgrywa się ostatni akt tragedii. Tutaj człowiek zarzuca wnętrze skrzyni masą kamieni. Ofiara pogrąża się coraz głębiej w basenie. Gdy wreszcie zatonię, łącząc ciałem swym dno z powierzchnią wody, kładzie się na jej zwło-

kach pokład. Nabrzeże powiększa się o kilkanaście metrów.

W innym miejscu pracowita draga pogłębia dno, torując nową drogę dla wielkich okrętów, które wymagają ośmio- do dwunasto-metrowej głębokości dla swoich kadłubów.

Na każdym kroku widzi się gigantyczny, twórczy trud inżyniera-rzeźbiarza gdyńskich basenów.

Powietrze przecina przeraźliwy ryk syreny. Szeroką bramą między dwoma falochronami, potężnymi jak mury średniowiecznej fortecy, wpiera się do awanportu dumny statek oceaniczny, kierując się następnie do basenu imienia Marszałka Piłsudskiego.

„American Scantic Line”. Przybywa z Ameryki północnej.

Przebiegam wzrokiem po nazwach innych statków. „New-Castle”, „Hull” — okręty angielskie. Dalej widzi się nazwy greckie, szwedzkie, duńskie, holenderskie, niemieckie, rosyjskie i inne. Okręty z wszystkich części świata. Żywa mapa różnych państw globu. Wśród kolosów spostrzegam nasz m/s „Batory”. Dumny, potężny, piękny, wyczekuje na wypad do Ameryki obok nowego dworca linii „Gdynia — Ameryka”.

Gdy tak błądzi się po porcie, odczuwa się coraz głębiej powiew globu. Rozumie się co-

raz dokładniej, że Gdynia to jedna z przystani na wielkich szlakach olbrzymów.

Czymże są biedne przystanki tramwajowe miast lądowych, stacyjki kolejek podmiejskich lub nawet odległe stacje pociągów normalnotorowych wobec marszruty statków morskich? Dla nich nie ma ważności ulica, wieś, miasto. One znają jedynie wielkie porty, odległe kraje, państwa, części świata. Do nich należą szlaki, opasujące cały glob. W Gdyni oddycha się — całą ludzkością.

Widziałem wiele portów, wiele olbrzymich fabryk, wiele pierwszorzędnych maszyn, a przecież przechadzam się po urządzeniach Gdyni jak po krainie cudów. Te polskie młodzińcze wyczyny napełniają serce urokiem radości. Wałęsam się chętnie po chłodni wśród stosu skrzyń z masłem, wśród istnej kopalni bekonów, mięsa mrożonego, bitego drobiu. Te dowody ekspansji polskiego rolnictwa wywołują niemal uczucie dumy. To znów z zapalem taternika, odkrywającego nowy szczyt tatrzański, zdobywam pięciopiętrowy gmach łuszczeni ryżu, wyrażając sztubacki podziw dla maszyn, które wykonywują przeróżne prace, kierowane zaledwo przez pięciu ludzi.

Nie omijam olejarni, wyposażonej w potężny trzydziesto-ośmio metrowej wysokości silos, operujący pneumatycznymi i taśmowymi

narządami, chwytającymi i przenoszącymi miliardy ziaren lnu, słoneczników, orzeszków ziemnych, soji i różnych nasion palmowych.

Błądę w ciągu wielu minut po uliczkach, wyznaczonych przez niezliczone stosy desek, przygotowanych na eksport. Zaglądam do hangarów, nadzianych workami bawełny, beczkami cementu, złomami żelaza i — Bóg wie — czym jeszcze.

Włazę, gdzie się uda. Wśród nagromadzonych gór towaru widzę z dumną radością bezcenną rzecz: polską pracę, polskie życie, polską siłę.

Oksywie. Nastrój groźnej powagi, żelaznego skupienia w porcie marynarki wojennej.

Szaro-stalowe, jak morze w chwilach pochmurnych, srogie, jak olbrzymie, skomplikowane pociski, — drżemią wojenne okręty, gotowe każdej chwili w razie potrzeby, do śmiercionośnego czynu. Woda głąska piersi stalowe lekko, tkliwie. Dźwiga srogie kadłuby potulnie jak niewolnik.

Grupki polskich turystów odbywają przegląd polskiej floty wojennej z dumą zwycięskich wodzów. Ja patrzę z radością i — smutkiem na pływające polskie wojsko, świadom potęgi flot wojennych innych mocarstw.

Stoją „Wicher” i „Burza” — dwa kontrtorpedowce, każdy nadziany czterema lufami stu trzydziesto-milimetrowego kalibru oraz dwoma czterdziestomilimetrowymi lufami — rycerze mocni a szybcy, zdolni do pokonywania przestrzeni z szybkością trzydziestu trzech węzłów. Dźwigają na stalowych kadłubach po stu pięćdziesięciu ludzi załogi. Oddzielnie drzemie największy polski okręt wojenny „Grom”, podziwiany z pewnym przestachem przez turystów, wtajemniczanych pobieżnie w jego tajniki.

W pogotowiu czekają cztery torpedowce mniejsze, ale kąśliwe, każdy z dwoma paszczami, szerokimi na siedemdziesiąt pięć milimetrów, — sługi rzetelne siedemdziesięciu marynarzy, gotowych na wszystko. Dalej cztery trawlerzy — wojenni rybacy, wyławiający w sieci miny.

Trzy stare okręty wojenne pełnią role szkół praktycznych. Miłościwe statki, zaprawiające młodzież do współżycia z morzem i do używania go jako terenu przyszłej wojny.

Najbardziej jednak intrygują przybyszów łodzie podwodne, — tajemnicze, podstępne, okrutne — „Wilk”, „Ryś” i „Żbik”, każdy zaopatrzony w sześć aparatów torpedowych i w dziesięć torped. Brak jeszcze wśród nich największego okrętu podwodnego, który przychodzi na świat w stoczni Vlissingenu.

Dobrze byłoby, aby każdy Polak zobaczył Polskę zbrojną na morzu. Olśniony rycerskim widokiem stalowych kolosów, łatwoby wywołał przed oczami wizję stalowej Polski, sięgającej wpływami po krańce świata.

Niestety, biedna jest ta nasza flota wojenna, choć groźnie przedstawia się szczyrom lądowym. Obecne wojenne floty mocarstw są ogromne, jak duże, pływające miasta. Gdzie polskie pancerniki — stalowe twierdze? Gdzie szeregi krążowników liniowych? Gdzie polskie awiomatki? Jeden angielski pancernik „Hood” o czterdziestu dwóch tysiącach ton wyporności jest prawie trzykrotnie większy od całej naszej marynarki wojennej.

Mamy dopiero piskłeta morskie, czekające na orły. Marynarz polski, świetny, odważny, dorósł do prowadzenia wielkiej floty. Czekają na uzbrojenie, które da mu możliwość wywalczenia dla ojczyzny godnego stanowiska wśród morskich potęg światowych.

Czas wypełnić polski port wojenny nowymi, ogromnymi jednostkami bojowymi. Albowiem floty wojenne nie są jedynie miastami różnych państw. To są państwowe największe skarbcze, władające bogactwami niezmierzonych mórz. Są to zarazem klucze do ogromnych kolonij i wrota do pałacu, w którym zasiadają wszystkie światowe mocarstwa.

XIV.

Gdynia — miasto pełni rolę armii pośredników między portem i obszarami całej Polski. Jak każdy pośrednik stara się tempem rozwoju dostosować do wielkości wymagań klientów. Stroi się w monumentalne gmachy, zakłada ładne skwery, wykłada granitem ulice. Buduje, buduje i buduje.

Ale przy całym swym szyku, przy reklamarskim sprycie trąci parweniuszostwem. Powyrastały ulice jedna po drugiej w gorączkowym tempie, często bezładnie. Potrzeba przerosła możliwości należytego przemyslenia, rozumnego rozplanowania. Gdynia — miasto budzi zainteresowanie, cieszy rozmachem wielkomiejskim, ale nie zachwyca.

Nie trudno przeniknąć duszę miasta.

Urząd Morski, Państwowa Szkoła Morska, Instytut dla Handlu Morskiego i Techniki Portowej, Państwowy Instytut Meteorologiczny, Urząd Celny, Kapitanat Portu, P. Żegluga Polska, Morski Urząd Rybacki... — oto sztab generalny portu.

Za nim intendentura, czuwająca nad zaopatrzeniem armii zdobywców morza: Bank Polski, Państwowy Bank Rolny, Bank Gospodarstwa Krajowego, Urząd Pocztowo - Telegraficzny... Wszystko gmachy monumentalne, nie na jeden rok trwania, nie na jedno pokolenie.

Złoto, zebrane ze skarbców bogaczy, ze skrzyń sknerów, z suchotniczych portfeli rzeszy urzędniczej, z brudnych chust robotników, z pończoch chłopków, z torb nędzarzy — płynie nad morze, zarzucając kotwicę połączenia wszystkich stanów z polskim wybrzeżem.

Dalej rozlokowały się konsulatory różnych państw — oddziały łączności Gdyni ze światem.

Wreszcie niemniej ważny szary tłum domów mieszkalnych dla pracowników oraz gmachy instytucyj, służących różnym ich potrzebom fizycznym i duchowym. A więc: szkoły wszelakiego rodzaju, szpitale, straże pożarne, sklepy, różne drobne przedsiębiorstwa handlowe i rzemieślnicze.

Tu i ówdzie powyrastały ośrodki propagandy turystycznej, — trąbki reklamy, zwołujące coraz liczniejsze rzesze, łaknące widoku morza i Gdyni. Dla tych przybyszów stanęły wielkie hotele, restauracje, kawiarnie, pensjonaty.

Ma Gdynia swoją oazę beztroski i wygody.

Wspinam się na Kamienną Górę. Witają mnie kwiaty ogrodów, pozdrawiają wdzięczne wille — pałacyki, prowadzą ładnie utrzymane drogi, miękko wspinające się wśród zieleni pod górę.

Skręcam na prawo, pnę się na szczyt wzgórza. W pochodzie przeszkadzają druty kolczaste, rozkopy, wały. Coś się tu dzieje. Setki drobnych rąk ścinają wierzchołek góry.

Oto rodzi się Bazylika Morska. Harcerze gdyńscy pomagają bezinteresownie przy budowie świątyni, poświęconej Bogu, najwyższemu opiekunowi polskiego morza.

Bodaj kościół ten stał się symbolem wieczności trwania dostępu Polski do Bałtyku!

Opodal bukiet will. Srogiej nazwy Kamien na Góra jest rozkosznym letniskiem, czarującym zakątkiem dla ludzi, szukających piękna, wygody, a nade wszystko czarodziejskich przedstawień, urządzanych przez niebo, ląd i morze.

Co dzień rano w dnie, od chmur nieskażone, wita mieszkańców chór barw wschodzącego z toni morskiej słońca. Co dzień przed wieczornym zmierzchem rzuca się kaskadą kolorów rozpłoniona dusza zachodzącego słońca. A, kiedy szare zasłony chmur odgradzą wzrok od bezkresnego nieba, odzywa się z tym większym poszumem nieskończoność ruchliwego morza; oczom przypominają się zadrzewione wzgórza Radłowa oraz smętne pola Kępy Oksywskiej; większej uwagi domaga się rozpostarta u stóp Gdynia.

Niema tu dnia bez muzyki fal, bijących o brzegi. Niema bezgranicznej ciszy, pełzającej

po ładach. Okna, tarasy, werandy zwrócone otworami ku wschodowi, — wszystko każe patrzeć na morze.

Niechaj na tym wzgórzu uczyć się lądowe szczury kochać morze bodaj z brzegu.

Zanurzam się w las sasnowy, trzymający się dotąd nietkniętego wygodną estetyką ludzką, stromego, wysokiego wybrzeża. Dokoła bliźutko zaglądają w oczy sosny. Tysiące igieł szumi znaną lądową melodię. Niewdzięczny syn lądu, ignoruję towarzystwo sosen. Szukam wzrokiem morskiej dali. Jest. Przebłyska gdzieś między drzewami jak olbrzymi płaszcz stężonego nieba.

Na dole, u stóp Kamiennej widać szeroką, wygodną promenadę. Dzieci bawią się rzucaniem kamyczków do morza. Przyzwyczajają oczy do żywiołu, którego ojcowie ich nie znali. Przez zmysły ich padają fale w głąb dusz. Umiłują napewno ożywczy napój globu. Nie poskapią dla jego obrony mizernego wiadra własnej krwi.

Przechadzki nadmorskiej używają młodzi i starzy, wystrojeni bogacze i biedacy w wytartych ubraniach. Wszyscy zdają się w tej chwili pełni pogody. Słusznie. Oto pierwsze pokolenie od lat stu pięćdziesięciu, które radować może myśli i serca wolnym, polskim morzem. Zbiegam ku ludziom, zbiegam po stromych ścieżkach, kochanych dziką pierwotnością. Fa-

le gonią tłumami ku promenadzie, tłuką się o duże głowy, podrzucone przez ludzi, niby głowy niewolników, mające bronić dostojnej drogi przed zalewem wody. Wysoka ściana betonu, oparta na faszynach, drwi z napierającej wody, rozbijając ją w pianę. Trzeba mieć życzliwe zrozumienie dla mądrości i siły ludzkiej, która tak dobrze umie dawać sobie radę z najpotężniejszym żywiołem.

Doszedłszy do plaży, muszę znowu podziwiać niezwykle życzliwy stosunek nieskończonego morza do mizernego człowieka. Korzystam z tego. Po chwili jestem już na gorącym, sypkim piasku, aby następnie dać się ogarnąć całkowicie wodzie morskiej. Jaka rozkosz! Morze dźwiga mnie jak dobra matka. Ciało przenika orzeźwiający chłód.

O morze, — ty największy lekarzu świata!

XV.

Podróż po pięknych krainach dusz ludzkich nie mniej przynosi pożytku i rozkoszy od poznawania uroczych krajobrazów.

Kaszubi...

Garść ich jest tylko. Taka dziwna wyspa, zalewana w ciągu wielu wieków przez morze i wojny, a nade wszystko przez stale napływający złowrogi żywioł germański. Wyspa, zbudo-

wana z trwalszych od granitu, niezłomnych charakterów, kwitnąca w niegościnnym klimacie kwiatami czułych serc.

Stara to wyspa. Przodkowie dzisiejszych Kaszubów przybyli z górą trzy tysiące lat temu na te niegościnnie wybrzeża, opuszczone poprzednio przez myśliwskie ludy z nad morza Śródziemnego, a potem zajęte przez lud rybacki Harpunów.

Kaszubscy pradziadowie zrosli się odrazu z tutejszą ziemią tak mocno, że wszelkie ataki obcych ludów i obcych kultur odbijały się od nich jak od opoki. Te zaś plemiona, które zdołały wdrzeć się do krainy Kaszubów, ulegały asymilacji lub musiały po pewnym czasie wędrować dalej, aby szukać łatwiejszych podbojów.

Nie zdołali osiedlić się tutaj na stałe ani Gotowie, ani zdobywcy germańscy pod wodzą wikingów, ani późniejsi Skandynawowie, ani wreszcie Krzyżacy i Prusacy.

„Nigde do zgube nie przyńdą Kaszube”.

„Nigdy”... — Wielkie to słowo w ustach kaszubskiego ludu.

Wyspa kaszubska pozostała w ciągu tysięcy lat nietknięta. Wyspa cenniejsza od ławic pereł czy kopalń drogich kamieni. Garść Kaszubów ofiarowała odrodzonej Polsce dar bezcenny — dostęp do morza.

Polska przyjęła dar i dzięki niemu stała się

światową potęgą. Ofiarowali Kaszubi ojczyźnie polskiej także drugi dar, niemniej cenny — siebie.

Tego daru Polska dotąd nie przyjęła w całości.

Dużo mówi się już u nas o Kaszubach. Zainteresowało się nimi na swój sposób grono etnologów i krajoznawców, — różnych specjalistów, publikujących drukiem szereg prac, z którymi należycie zaznajomi się zaledwie małe grono ludzi.

Z zaciekawieniem patrzą na rybaków naszych grupy przygodnych turystów, szczególnie harcerze i wycieczki szkolne. Niosą one potem wgląd kraju garść pozbieranych wiadomości o ludzie morskim.

Ułatwiają zbliżenie się do ludności kaszubskiej organizowane co roku „Święta morza”.

Przypatrują się Kaszubom tłumy letników. „Badają”, „poznawają”. Podziwiają kilometry powiązanych w sieci sznurów. Mieszkają nawet w wnętrzach chat rybackich i starają się zapamiętać różne dziwaczne wyrażenia, jak „twarde morze”, „babie żebra” i t. d.

To wszystko za mało, — to lekkomyślnie mało.

Niechaj zainteresuje się ludność Polski innym słownikiem Kaszubów, tym niewypowiedzianym, a który poznaje się z ich czynów, z ich

odruchów, z ich dziejów... Słownikiem głębin dusz.

Oto dla przykładu kilka wyrazów i zdań, które można wyczytać z głębin serc braci kaszubskiej.

Ciche, głębokie trwanie. — Sztormy niepowodzeń wywołują fale uczuć na powierzchni — wnętrza pozostają nietknięte.

Niezlomność i pokora. Hartowność stali i łagodność baranka.

Zawziętość w wysiłkach i łatwość rezygnacji z własnej korzyści w niedoli.

Trzeźwy realizm życia — i głęboki mistycyzm w duszy.

To próbki słownika myśli i uczuć Kaszuba. Skąpy jest ten słownik w ilość słów, ale wykuty z żelaza, naładowanego elektrycznością. Bodajby te klejnoty ducha kaszubskiego przeszły do powszechnego skarbca dusz polskich!

Mało kto patrzy u nas na Kaszuba jak na wychowanka morza. Co więcej, jak na zwierciadło morskie. A przecież cnoty i wady morza znajdują swój wyraz w duszy kaszubskiej wyraźny i zrozumiały. I tak być musi.

Dusza Kaszuba jest pełna Boga i w odczuwaniu niemal pogańska. Sprawili to wielcy wychowawcy kaszubskiego rybaka. Każdemu jego poczynaniu towarzyszą niebo i morze. Niebo — cudny, lecz niebezpieczny towarzysz. Zawsze niepewne, zmienne, piękne i bezwzględne.

odne, uzbrojone w wichry, pioruny, grady, ulew... Napróżno silić się na przewidzenie jego tajemnych zamiarów.

Drugi towarzysz — morze posiada jeszcze groźniejszy arsenał broni, z których każda grozi zagładą lilipuciego człowieka.

Połów morski, codzienne zajęcie rybaka, to nie przechadzka inteligenta przez gładkie ulice do biura z teką pod pachą, ulokowanie się w fotelu, ciche wypociny mózgu, cztery działania, paragrafy, herbatka, uśmiech koleżanki.

Połów — to nie ciężkie stąpanie wieśniaka za pociągowym zwierzęciem z pługiem, broną, czy siewnikiem.

To nawet nie męczące czuwanie robotnika przy maszynie.

Niebezpieczeństwem, wiecznie czyhającym nad głową, równać się może połów chyba z pracą górnika, zdanego na rozliczne złośliwości demona wnętrza ziemi.

Ale pod względem wspaniałości terenu pracy i głębi grozy zawód rybaka morskiego nie ma równego sobie na żadnym lądzie kuli ziemskiej.

Już same narzędzia, którymi rybak operuje, są niezwykle. Takie mance śledziowe czy szprotowe. Każda ma dwadzieścia pięć metrów długości i sześć metrów głębokości, a najczęściej łączy się po cztery takie sieci ze sobą. Razem sto metrów długości — mała uliczka.

Sieci te muszą pływać na umocowanych u góry korkach, które umieszcza się w niedużych odstępach. U spodu trzeba przywiązać do sieci pełno kamieni, aby je należycie obciążyć. W miejscach, gdzie sieci łączy się ze sobą, zawieszają się szklane kule, wypełnione powietrzem.

Na brzegach manć umocowuje się tęgie kotwice, od których idą w górę liny z bojami, zaopatrzonymi w chorągiewki.

Operowanie takimi narzędziami nie jest możliwe dla jednej, czy nawet paru osób. Do tego potrzebne są związki kilku rodzin — maszoperie.

A nety flondrowe, łączone też po kilka razem, długie na dwieście metrów i więcej, zapuszczane na głębokość dwudziestu do czterdziestu metrów.

A nety na brzany, na dorsze, na leszcze, płocie, mielnice... Wszystkie ogromne, ciężkie, skomplikowane.

A więcierze czyli żaki. Olbrzymy stożkowe-g kształtu, długości pięciu metrów, o kręgach półtorametrowych, — olbrzymy, zaopatrzone w skrzydła, z których lewe ma pięć metrów, a prawe dochodzi czasem do pięćdziesięciu metrów długości. Przy pomocy skrzydeł napędza ogromne to narzędzie ofiary do swego otworu gębnego, do którego droga jest łatwa,

ale z którego wyjście prowadzi tylko do — łodzi rybackiej.

Te mance, nety, czy żaki trzeba zostawiać w wodzie, aby same spełniały czynności chwytania ryb. Istnieją jednak sieci, którymi rybak cały czas musi kierować. A niektóre z nich większe są jeszcze od narzędzi passywnych. Taka na przykład pławnica dryfująca sięga wysokości piętrowej kamienicy, a długości liczy czterdzieści metrów. Sieci takich łączy się zwykle sześćdziesiąt. Razem dwa tysiące czterysta metrów, cała prawie ulica Marszałkowska. Ulicę taką trzeba w przeciągu krótkiego czasu rozwinąć, a potem wciągnąć do kutra z gromadą schwytanych łososi.

A w jakich odbywa się połów warunkach.

Patrzcie, górnicy, pogrążeni w wilgotnej ciemni, przytłoczeni zwałami martwych pokładów. Słuchajcie inteligenci, ogłupiali mechaniczną pracą w smrodliwej atmosferze biur. Słuchajcie, robotnicy, przytępieni jednostajnym wysiłkiem wśród huku maszyn. Oto obrazek z pracy kaszubskich rybaków.

Pogodny wieczór majowy. Od południowoschodu płynie ciepły wietrzyk. Grupa rybaków wypływa z portu w Gdyni. Kuter zawozi gromadkę ciemnych postaci na Wielkie Mo-

rze. Ludzie, ogarnięci myślą wydarcia otchłaniom wodnym odrobiny skarbów, przygotowują się do połowu.

Rozbłyśka latarnia, umocowana na boi, ozdobionej chorągiewką. Po chwili błędne światło latarni zawisa na powierzchni czarnego bezmiaru wody, przywiązane długą liną do rybackiej łupiny.

Kuter zaczyna oddalać się od światła, z wnętrza swojego wypuszczając do morza ogromne zwoje pławnicy dryfującej, zbudowanej z bawełnianych oczek. Sieć niknie zwolna w głębinie.—Sieć—olbrzym, niesamowita ulica podwodna, czyhająca każdą komórką swego ciała na życie mieszkańców morza. Kawały korka trzymają z wysiłkiem masy sznurowego potwora, wskazując rybakom miejsce jego pobytu.

Latarnia — płomienne oko pławnicy — jest już bardzo daleko, gdy drugi koniec sieci pogrąża się dopiero w wodzie. Długa lina, grubości ręki, przymocowana do kutra, trzyma całe narzędzie połowu na uwięzi. Zastawienie sieci zostało zakończone.

Teraz na ciemnym, ślepym kutrze zakwita dwoje oczu: — dwie latarnie. Świecą na dwóch słupach różnej wysokości, dając znak o swoim czuwaniu. Zapada noc, pełna oczekiwania, noc zwykła dla rybaków, a przecież taka niezwykła dla ludzi lądu.

Kaszubi spokojnie palą fajki i pograżają się w głębinę duszy świata i dusz własnych. Może który z nich oddaje się przypomnieniom o różnych dziwach, które objawiają człowiekowi morze, ziemia i niebo? Może myśli o Stolemach — wielkoludach tak mocnych, że zdolni są dla zabawy usypywać i rozrzucać góry z morskiego piasku, a drzewa w lasach kłaść pokotem za jednym zamachem? Może podziwia siłę krzyża, przy pomocy którego potrafi mały człowiek, który zmieści się w dużym palcu rękawicy wielkoluda, unieszkodliwić go całkowicie? Może któremu zwidzi się Zmora, płynąca po morzu na żdźble słomy, w postaci pół-tchórza, — pół-karła, — Zmora zła, która w nocy wciska się do chat przez dziurkę od klucza, po czym siada na piersiach pograżonego we śnie i dusi go bez litości?

Może któremu przypominają się gadki o zatopionych dzwonach, które jęczą z głębin morskich i o dziewicy, która się z głębin wyłania i o Smętku i o innych duchach dziwnych, krążących po świecie, a widzianych tylko w chwilach osobliwych?

Toż mają Kaszubi legend — dzieci bujnej wyobraźni, bez liku. Morze, brzegi, cały swój kraj zapełnili duchami, upiorami, błędnymi ognikami, czarownicami. Nawet niebo ze słońcem, z księżycem i gwiazdami ustroili w poda-

nia, pełne lotnej fantazji, pełne barw i sentymentu.

Ruchliwe morze porusza wyobraźnię ludzką, nie daje jej ani chwili biernego wypoczynku. Ludzie morza łączą w sobie przeto trzeźwy pogląd na świat z rozmaitymi przesadami i z głębokim mistycyzmem.

Ale na kutrze nie można zapamiętać się do granic beztrzeźwości. Trzeba śledzić z uwagą ruchy widzianych statków. Trzeba czuwać, by któryś z nich nie najechał na sieci.

Po kilku godzinach, gdy świt zaróżowi niebo i ziemię zwiastunem jasności pozdrowi, zabierają się rybacy do wyciągania pławnicy. W oczkach długiej sieci tkwi kilkanaście tęgich łosoci. Robotnicy morza są zadowoleni. Łosoś droga ryba, czasu i wysiłku nie zmarnowali. Cudna noc na morzu, noc zwyczajnej pracy rybaka minęła.

I takie noce powtarzają się raz po raz, — noce cudów i ciężkiej pracy.

A teraz drugi obrazek z tysiąca różnych.

Zima. Odbywa się połów na śledzie niewodem, breitleźnikiem. Wszystkie żywyły sprzęgły się, aby uniemożliwić wpuszczanie i wyciąganie sieci. Ostry, lodowaty wicher tnie policzki i ręce jak tysiące brzytew, przenika do najszczelniej zakrytych zakamarków ciała. Morze

szaleje. Rozhuśtana fala podnosi mały kuter i rzuca go w kilkumetrowe przepaści z surową zajadłością. Równocześnie nieubłagana, ostra kra lodowa zbiega się z różnych stron, tworzy zwały, walczące ze sobą wzajemnie, to znów atakujące łódź.

Noc staje się czarna jak sadza. Zda się, że nadchodzi chyba sąd ostateczny. Łoskot, ruch z góry, z dołu i z boku, jakiś chrzęst złowrogi, budzące dreszcz grozy chlupotanie wody, rzucającej się na rybaków w nieustannych bryzgach, — wszystko to zlewa się w jakiś upiorny taniec złych potęg.

Rycerz naszych wybrzeży, rybak kaszubski, wydobywszy się z objąć kry, zarzuca sieci wśród szalejącego huraganu, boryka się z morzem — taki mały wobec żywiołów, z którymi walczy, a przecież zwycięski.

Połów odbywa się sprawnie. Wśród ryku morza przenika do uszu rybaków głos szypra, dowódcy maszoperii, słuchany jak głos wodza.

Po tej piekielnej, nieskończonej długiej nocy, okazuje się, że wartość złowionych ryb wynosi niewiele więcej, niż straty z powodu potargania sieci. Żaden z rybaków nie załamuje rąk. Żaden nie podnosi zaciśniętej pięści ku morzu. Po paru dniach płyną kutry znowu na wody na kilkudniowe boje z nocą, morzem, lodem, wichrami...

— — — — —

Dziwne to życie Kaszubów. Dla nas, lądowych szczerów, których codzienna wegetacja mało różni się od wypoczynku w grobie, straszne, złowrogie. A jednak to *prawdziwe* życie.

Kuter, wiecznie płasający na fali — te skrzydła rybaka — to symbol jego życia. Łupina, zdana na łaskę ogromów, odrzuca go od spokoju lądu, niesie na nieustanny ruch, czuwanie, obcowanie z najsilniejszymi żywiołami. Dusza musi być wiecznie czujna, wiecznie skupiona, pogrążona w objęcia wszechbytu, bez oparcia, trącana od dołu, z góry, z wszech stron, Ileż siły promieniować musi z swojego „ja”, aby pozostać odrębną, niezagubioną. Gdy zapomni się na chwilę, przekroczyć może łatwo próg wieczności, jakby to był próg zwyczajnej izby.

Śmierć jest zawsze tak blisko kaszubskiego rybaka, że lepiej widzialna jest od wygodnego życia, bardziej powszednia.

Dusza płynie na granicy między śmiercią a życiem, jak łódź między głębią morską a niebem. — Dusza — wieczny czyn, nieustanne bohaterstwo, granitowa wola.

Gdyby te dusze rozwieliżniły się w narodzie polskim, gdyby wtargnęły w głąb naszego kraju, w myśli, uczucia i wolę całej ludności polskiej — i gdyby dotarły aż tam, w góry, na Podhale, i zjednoczyły się z cnotami polskiego górala, — hej! — toby się naród wydarł z sen-

ności zaścianka! Taki naród wyzwoliłby w sobie siły, którymi by nareszcie naprawę świat zadziwił.

XVI.

Kilka godzin zaledwie pochłania wycieczka łodzią motorową wzdłuż całego polskiego wybrzeża. Sto czterdzieści sześć kilometrów. A, gdy odjąć 66-kilometrowy dodatek w postaci półwyspu Helskiego, co pozostanie? — 80 km. powyginanego brzegu. A w linii prostej? Od granicy W. M. Gdańska do granicy niemieckiej, od Kolibek po Piaśnicę — 35 kilometrów. Piechotą przeciąć można szyję Pomorską blisko brzegu w przeciągu kilku godzin. Armaty średniego kalibru zdolne są każdej chwili odciąć dostęp Polski do morza.

Groźny fakt. Musi się go mieć przed oczami, gdy się problem posiadania przez Polskę morza rozważa. W tym naświetleniu przedstawia się imponująca Gdynia jako bezcenny klejnot, narażony każdej chwili na kradzież. O złodzieja nietrudno — dzieje mają dostateczną wymowę.

Klejnot, z którego bije źródło życia i mocy dla całego narodu, trzymać trzeba na herkulesowym ręku. Cały naród jak jeden mąż przystąpić musi do pracy nad zabezpieczeniem mor-

skiego stanu posiadania. Każda kępa zamienić się winna w niezdobytą twierdzę. Każda wydma piaszczysta stać się musi w razie potrzeby mogiłą najeźdźczej armii. Na dnie morskim, w wodzie i nad wodą czuwać musi bezustannie straż ognia, żelaza, straż gazów trujących, jadowniczych bakterii — straż wszystkiego, co śmierć może zadać nieprzyjacielowi.

A poza uzbrojonym wybrzeżem i morzem stać musi cała trzydziestokilko-milionowa masa ludzka, gotowa do powszechnej ofiary mienia i życia dla morza. Wtedy nie znajdzie się siła na całej kuli ziemskiej, któraby ośmieliła się przekroczyć śmiertcionośny pierścień polskiego wybrzeża i grobową otchłań zatoki Puckiej.

Dopłynąłem do ujścia Piaśnicy. Po tamtej stronie polsko-niemieckiej granicy przechadza się pruski żołnierz. Pełni straż na lewym brzegu rzeczki.

Straż? — Niemiec jest pewien, że z polskiej strony nie grozi inwazja jego państwu. Ten żołnierz wygląda jak groźba, jak przypomnienie, że wszystkie ziemie wzdłuż tego wybrzeża daleko, — hen poza Odrę były dawniej słowiańskie.

Czas wracać do Gdyni. Gorące południe. Mijam wioski, lotniska i miasteczka. Tysiące letników pluska się w zielonawo-żółtych fałach morza. Inni raczą ciała rozkoszą złociste-

go piasku plaż Karwi, Jastrzębiej Góry, Hallerowa, Wielkiej Wsi, Kuźnicy, Chałup, Jastarni, Juraty, Helu... Widmo przeszłości i przyszłości polskiego wybrzeża rozplywa się w jasnych promieniach słońca. Teraźniejszość jest uśmiechnięta i pewna siebie. Brzeg morski śpiewa wesołą piosenkę: „Jakoś to będzie”.

Staram się zebrać wrażenia z wycieczek wzdłuż polskiego brzegu.

Handel, przemysł, kąpieliska, pałace, kawiarnie, pensjonaty, chaty rybackie, stare kościółki — to ludzka dekoracja polskiego wybrzeża.

Magazyn kontrastów. Najaktualniejsza nowoczesność miesza się z zupełną niemal pierwotnością. Kupcy, rozgrzani handlem na światową skalę, żyjący wielkimi koniunkturami, zagarniający milionowe zyski — i rybacy, spokojni, cisi, bogaci wewnętrzną tężyzną, ubodzy życiową naiwnością.

Inżynierowie — twórcy precyzyjnych maszyn czy nowoczesnych żelazo-betonowych budowli, — i Kaszubi, pochyleni nad łataniem prymitywnych sieci.

Barwny tłum letników, pluskający się w morzu leniwie, błogo jak w basenie — i marsowi rybacy, walczący z morzem na śmierć i życie.

Chaty rybackie, pobudowane z kadłubów łodzi, pamiętających wikingów, — i żelazo-betone, potężne kamienice, świeżo montowane.

Skwery i parki, pyszniące się doskonałymi liniami klombów, kwiaty, rosnące pod dyktandem ogrodnika, krzewy, posłuszne cięciom sekatora, zbanalizowane — i przedziwne mikołajki nadmorskie, zwane babimi żebrami lub ostropustami, ozdoby piaszczystych wydmy; rokitniki, zabłąkane tutaj, mające siostrzyce aż w Pieninach; jarzębiny szwedzkie — unikat flory polskiej, mieszkanki Kępy Radłowskiej; atlantyckie dzieci: woskownica i wrzosień błotny, które przywędrowały na te obszary przed tysiącami lat, gnane siłami natury.

Skarlałe palmy, agawy, draceny, przywiezione z cieplejszych stron, sztucznie pielęgnowane w ogrodach, usiłujące przywieść na pamięć odległe czasy oligocenu, gdy na tym miejscu pyszniły się wielkie lasy, pełne cyprysów, magnolii, eukaliptusów, sagowców, wawrzynów, buków — i sosny, dzisiejsze bohaterki wybrzeża, rozrosłe szeroko, nieraz dziwacznie powykręcane, ale mocarne, wytrwałe, walczące skutecznie z sztormami, z ubóstwem gleby, z zalewem słonych wód.

Kopczyki, sypane przez dzieci z piasku — i ogromne, stare głazy narzutowe, przytaszczone przez lodowce, obrośnięte legendami niby mchem. Z chat pomrują światełka lampek

naftowych niby stare, kaprawe oczy, wpatrzone w ciemność. Obok tryskają dumnie zdobywczyimi ślepiami daleko i szeroko reflektory latarni morskich. Przebijają ciemności, czyhające na statki, dając im możliwość ratunku. Najmocniejsza z latarni czuwa niby mistyczny archanioł z mieczem płomienistym — w Rozewiu, na najdalej wysuniętym w morze cyplu Polski, rozdzierając mroki światłem o sile 5,500.000 świec.

Morze też pełne jest kontrastów. Na dnie jego dziś jak przed wiekami uśmiecna się głupkowato flądra, wpatrzona jednym okiem w światło, płynące z powierzchni, do której nie lubi podpływać. Igrają łososie, szprotki, wściwiają w dno ciała węzowe węgorze. Na dnie Małego Morza ścielą się duże łąki, pełne morskiej trawy webło, rupij, rdestnic, zamętnic... Jak przed wiekami zalega wody morskie świat niezliczonych glonów — brunatnic, zielenic, krasnorostów...

A po zwierciadle morskim płyną wygodnie urządzone statki, ogromne, luksusowe, różne pseudo-romantyczne jachty, wystrojone na pokaz w żagle, a w głębi uzbrojone motorem — i różni inni nowocześni przybysze. Za lat dzieścięć lub sto ustąpią nowym, lepszym, mocniejszym. Tylko głębia zostanie zawsze ta sama, naiwna i wytrwała, prymitywna i mądra.

Nie tylko człowiek urozmaicił kontrastami polskie wybrzeże. Pracowały nad tym o wiele dłużej i potężniej żywioły ziemi. One to poprzepłatały brzegi głębokimi rowami i dumnymi wyniosłościami.

Szukając wielkiego rzeźbiarza tych obszarów, spotykamy znowu wspaniałą naszą Wisłę. Wezbrane jej wody dawno już temu w pogoni za lodowcem musiały zatrzymać się na miejscu dzisiejszych Żuław. Albowiem olbrzym lodowy rozparł się tutaj, zajmując swym cielskiem także obecną zatokę Gdańską.

Wody wiślane nie chciały czekać zbyt długo. Wypełniwszy zastoisko gdańskie, runęły kilkoma ramionami na zachód. W ciężkim trudzie orały na części morenę denną, zostawioną przez lodowiec. Wskutek tej pracy wiślanej z jednolitego garbu morenowego zostały jeno wyniosłości — kępy, które stanowią dzisiaj ozdobę naszego wybrzeża: Radłowska, Oksywska, Pucka i Swarzewska. Spiętrzają się one ponad morzem stromym wybrzeżem klifowym, dochodzącym w kępie Radłowskiej do 90 metrów wysokości.

Rzeźba pionowa wybrzeża to jeszcze nie ostatnie dzieło naszej Wisły. Za Pucką zatoką czai się płytko gigantyczny sierp, wbity w morze — półwysep Helski, — budowany wspólnym wysiłkiem morza, wichrów i Wisły.

Dusza napełnia się radością. Bałtyk jawi się

w nowym świetle. Bałtyk — twórca lądów —
do spółki z Wisłą!

Co za misterna robota! Olbrzym, niszczący
lądy, bawi się w układanie z lotnego piasku —
wąskiego pasa ziemi, pasa, w który wali bał-
wanami, na który puszcza ataki sztormów,
który czasami przerywa i naprawia.

Piękny to podarunek Bałtyku i Wisły dla
Polski.

h. inv. 204

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Politt.-Wych.





5866/
17.